Nr. 163. Lwów — Czwartek dnia 19 Lipca. Rok 1900.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 8 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Winc. z Pauli | Jutro: św. Czesł. i Kas. | Syzona Weł. Ftomy Prep. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca o g. 4 m. 25, Zachód „ „ 7 m. 43 | Długość dnia godzin 15 minut 18, Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Krytyka dwójprzymierza.

Sojusz z Francyą miał zawsze dla Rosyi przeważnie militarne znaczenie. Tradycye, cele, urządzenia społeczne i polityczne, ideały bynajmniej nie mogły pociągnąć ku sobie tych państw; złączyła je tylko obawa przewagi niemieckiej i gniewna pamięć o traktacie frankfurckim, oraz o kongresie w Berlinie. Przymierze, zawarte z takich pobudek, musiało być przedewszystkiem militarnem i jako takie było też manifestowane w Tulonie, Kronsztadzie i Cherbourgu. Trwałość jego zależy więc głównie od wartości wojskowej, jaką jeden sojusznik ma dla drugiego, a także od uczuć, żywionych przez obu dla mocarstw Europy srodkowej. Co do tych uczuć, to o dawnej ich ostrości pozostało tylko wspomnienie, a co do militarnej wartości republiki, to stała się ona bardzo wątpliwa. Być może, iż mocno przesadzają berlińskie dzienniki, które zapewniają, jakoby szef rosyjskiego sztabu głównego wywiózł teraz z Francyi najgorsze o jej armii wyobrażenie; ale to jest faktem, że niemal cała prasa rosyjska, jakby na komendę, wystąpiła z surową krytyką ostatnich zajść w Paryżu między rządem a wojskowością i otwarcie oświadcza, iż taki sojusznik jest dla Rosyi tylko kulą u nogi. Rzeczywiście, dziwne to państwo, którego rząd, aby uniknąć wszelkich niemiłych demonstracyj w dzień święta narodowego (14 lipca) uznał za dobre przenieść na prowincyę wielu oficerów z paryskiego garnizonu. Nazwano to we Francyi epizodem z „ewolucyi wojskowej".

Ta ewalucya odbywa się na dobre od kilku miesięcy. Do niedawna jeszcze armia uchodziła we Francyi nieledwie za świętość narodową, której dotknąć nie śmiała żadna napaść i żadne oszczerstwo. Gdy więc nurzały się w błocie wszystkie urządzenia państwowe, jedna instytucya wojskowa ustrzegła się wszelkiej plamy, stanowiła niejako jedyny punkt stały w ogólnym zamęcie. Przyszła jednak kolej i na nią, wciągnięto ją w wir walki politycznej i odtąd wznosi się naokoło niej straszliwa wrzawa, a sprawy wojskowe spychają we Francyi na plan drugi wszelkie inne zagadnienia. Oczywiście, że te bezustanne publiczne dyskusye wyjść nie mogą na korzyść armii, tembardziej, że dyskredytują ją i przyczyniają się do rozluźnienia karności wojskowej w wyższym poniekąd stopniu, niż przeciwnicy, rzekomi jej obrońcy.

Zanik zapału wojskowego we Francyi przewidzieć zresztą było można od dość już dawna, a mianowicie od chwili, w której przekonania i zapatrywania republikańskie i demokratyczne brać zaczęły górę w narodzie francuskim. Zważyć należy, że oparta na zasadzie bezwarunkowego posłuszeństwa instytucya wojskowa wogóle nie zgadza się z istotą demokracyi, głoszącej jak największą niezależność jadnostki. Oprócz zaś tego wchodzi jeszcze w grę antagonizm, jaki z czasem wytworzyć się musiał między władzą wojskową a cywilną. Stojący na wyżynach życia publicznego politycy po części słusznie upatrywali w mniej lub więcej ambitnych jenerałach największe niebezpieczeństwo, zagrażające republikańskiemu ustrojowi państwa, a tem samem i ich własnej przewadze.

Te zasadnicze przeciwieństwa nie występowały na jaw, dopóki cały naród ożywiała myśl odwetu za sromotne cięgi, otrzymane w ostatniej wojnie z Niemcami. Z czasem jednak zatarło się, a przynajmniej osłabło wspomnienie klęsk i nowe pokolenie Francuzów, biorące udział w sprawach publicznych, dąży do innych celów, kieruje się innemi zapatrywaniami, pielęgnuje inne ideały. Armia więc, uchodząca dawniej za rękojmię przyszłych zwycięstw i przyszłej sławy narodowej, zamieniać się zaczynała powoli w wyobrażeniach pewnej części narodu w narzędzie, przeznaczone do tłumienia wszelkich swobód, do krępowania indywidualnej wolności obywateli.

Rzecz prosta, że potężna i karna, niezależna przytem od władzy cywilnej armia była solą w oku przedewszystkiem dla żywiołów demagogicznych, dla stronników politycznego i społecznego przewrotu. Żywioły te czekały tylko na stosowną chwilę, aby wystąpić do przygotowanej od dawna akcyi antiwojskowej. Sposobność taką nastręczyła im sprawa Dreyfusa, w której kilku wybitnych przedstawicieli armii dopuściło się krzyczących nadużyć. Od procesu też Dreyfusa datuje się gwałtowna naganka na armię francuską. Nie zagrażała ona urządzeniom wojskowym Francyi dopóki brali w niej wyłącznie udział t. zw. inteligenci i dziennikarze, dopóki walka ograniczała się na mniej lub więcej gwałtownych artykułach, broszurach i mowach, wygłaszanych na zebraniach prywatnych i publicznych. Sprawa jednak przybierać zaczęła inny obrót, gdy zwolennicy przewrotu, a tem samem i najzaciętsi przeciwnicy armii wywalczyli sobie przeważny wpływ w rządzie francuskim. Gabinet Wáldeck-Rousseau'a, złożony w części z socyalistów i zawdzięczający jedynie poparciu stronnictwa socyalistycznego swe istnienie, zabrał się energicznie do dzieła, mającego na celu zapewnić władzy cywilnej przewagę nad władzą wojskową. Pierwszym krokiem na tej drodze była rewizya procesu Dreyfusa i ułaskawienie skazanego ponownie przez sąd wojenny eks-kapitana. Na tym czynie nie ograniczyła się jednak akcya rządu. Chodziło przedewszystkiem o oczyszczenie armii z żywiołów niepewnych, podejrzywanych o sprzyjanie przeciwnikom republiki. Ponieważ zaś do tego dzieła nie nadawał się minister wojny jenerał Galliffet, przestrzegający wprawdzie karności w armii, lecz opierający się stanowczo jej dezorganizacyi, przeto miejsce jego zajął świeżo jenerał André, którego jedyną, a przynajmniej główną kwalifikacyę do tego wysokiego urzędu stanowią przekonania republikańskie. Pierwsze zaraz rozporządzenia nowego ministra wojny skłoniły do podania się do dymisyi najpierw szefa sztabu głównego jenerała Delanne'a, a następnie i naczelnego wodza armii francuskiej jenerała Jamonta. Dwa te najwyższe stanowiska wojskowe powierzono wojskowym, których zasług również szukać wypada na politycznem, a nie na wojskowem polu.

Swoją drogą sądzić nie należy, aby ta akcya, wymierzona przeciwko armii, nie wywoływała w społeczeństwie francuskiem protestów i oporu. Owszem, twierdzić nawet można, że obrońcy armii występują przy każdej nadarzającej się sposobności z daleko większą gwałtownością, niż jej przeciwnicy. Szkoda tylko, że tym obrońcom więcej chodzi w tej walce o osobiste ich, polityczne interesy, o obalenie znienawidzonego gabinetu i zajęcie jego miejsca, niż o uchylenie rozprzężenia siły zbrojnej kraju. Dla armii zaś ta niepowołana pomoc o tyle jest szkodliwa, że budzi w niej niebezpieczne aspiracye i nadzieje, że wnosi do niej żywioł polityczny, że wytwarzać zaczyna jenerałów i oficerów politykujących.

Zapewne obecna „ewolucya" wojskowa, ujawniająca się w ustąpieniu całego szeregu najwybitniejszych przedstawicieli armii z zajmowanych dotychczas stanowisk, nie zagraża jeszcze republice bezpośredniem niebezpieczeństwem. „Pronunciamento" na wzór hiszpański niemożliwe jest przedewszystkiem z powodu współzawodnictwa pomiędzy jenerałami, oraz z powodu braku jednostki energicznej i poważanej, a zdolnej do wykonania zamachu stanu z jakimkolwiek widokiem powodzenia. Zresztą na żołnierzy — jak dotąd — oficerowie nie mogą liczyć. Niemniej przeto francuskie koła rządowe, rozpoczynając walkę z armią, wdają się w grę niebezpieczną. Pod naciskiem prześladowania mogą się połączyć niezgodni dzisiaj jeszcze reprezentanci świata wojskowego do wspólnej akcyi, a wówczas w walce pomiędzy parlamentem a pałaszem zwycięstwo nie może być wątpliwe. Naród zaś, któremu do żywego dojadły już jałowe, bezładne, dyskredytujące Francyę w oczach całego świata rządy parlamentarne, podług wszelkiego prawdopodobieństwa ze spokojem przyglądałby się tej ewolucyi, czy też już rewolucyi.

Tymczasem jednak Francya jako sojuszniczka militarna ma dla Rosyi coraz mniejszą wartość. Wszelako nie jest to żadną nowiną, a ostatnia translokacya mnóstwa oficerów jest za małym powodem do ostrych krytyk, które naraz rozległym chórem odezwały się w Rosyi. Zapewne tedy zaczęto tam krytykować armię francuską i wykazywać nieużyteczność dla Rosyi sojuszu z republiką dlatego głównie, że konieczność zmusza iść ręka w rękę z Niemcami na arenie chińskich wypadków.

Rzeź w Pekinie.

Nie ma już dziś żadnej wątpliwości, że wszystkie poselstwa europejskie w Pekinie zostały wymordowane. Potwierdzają to telegramy urzędowe, otrzymane w Berlinie i Londynie. Pierwotne doniesienie o tej straszliwej katastrofie trzeba więc tylko o tyle zmienić, że stała się ona nie ostatniego czerwca, ani pierwszego lipca — jak donoszono — lecz szóstego lipca. Według tej ostatniej wiadomości ta rzeź szóstego lipca była już tylko dobijaniem europejczyków. Poprzednio motłoch chiński zdobył i zburzył wszystkie poselstwa oprócz angielskiego i rosyjskiego. Te dwa jeszcze się trzymały jedynie dlatego, że były opasane wysokimi i grubymi murami, których chińczycy nie mogli zburzyć z powodu braku armat. Zaopatrzyli się w nie dopiero szóstego lipca i wtedy przypuścili ostatni szturm. Z wszystkich europejczyków ocalało tylko dwóch ciężko rannych, którym udało się schronić w Pekinie, a potem uciec z niego ku brzegowi Oceanu. Zapewne wedle ich opowiadań podały równocześnie trzy angielskie dzienniki: *Central-News*, *Daily Mail* i *Daily Express* opis tej ostatniej bitwy. Odbyła się ona w ten sposób:

Poprzedniego dnia były zburzone wszystkie domostwa, otaczające gmachy poselstw angielskiego i rosyjskiego. Na tem rumowisku ustawiły się wojska chińskie pod dowództwem księcia Tuana, który objeżdżał szeregi swych wojowników w żółtej szacie, jaką ma prawo nosić tylko bogdychan. Przed nim konny chorąży wiózł wielką państwową chorągiew, przedstawiającą czarnego smoka w żółtem polu. Tuan podzielił swe wojska w ten sposób, że prawą jego połowę, przeznaczoną do ataku na poselstwo rosyjskie, oddał pod dowództwo księciu Tsaj-In, a połowę lewą, która miała atakować poselstwo angielskie, powierzył komendzie księcia In-Siu; sam stanął w rezerwie z wszystkimi bokserami, oraz z regularnym oddziałem księcia Tsaj-Ina. Kiedy jednak te wojska pierwszej linii rzuciły się do szturmu na gmachy obu poselstw, wówczas z tyłu za rezerwą pokazały się śpieszące na pomoc Europejczykom wojska księcia Czinga i jenerała Wang-Wang-Szao. Rezerwowe wojska księcia Tuana zwróciły się przeciwko nim. Wywiązała się zacięta bitwa, w której po jakimś czasie wzięły udział wojska pierwszej linii księcia Tuana. Korzystając z tej chwili Europejczycy, zamknięci w poselstwach, zaczęli się z nich chyłkiem wymykać i uciekać w głębi rowu, opasującego park cesarski i pełnego na dnie stojącej wody, pokrytej zieloną rzęsą. Nie zdołali jednak uciec, ponieważ motłoch chiński wyłapywał ich w tym rowie, obdzierał, dusił i topił.

Tymczasem bitwa księcia Tuana z księciem Czingiem wypadła pomyślnie dla pierwszego z nich. Czing poległ. Jenerała Wang-Wang-Szao bokserzy podnieśli na dzidach, a wówczas wojska obu tych dowódzców przeszły na stronę Tuana. Zdobytą w ten sposób artyleryę Czinga ustawił Tuan przeciw poselstwom i zaczął je bombardować. Niebawem runęła część murów, a wtedy wojska Tuana wdarły się na wewnętrzne dziedzińce. Tu już była tylko rzeź — długa, okrutna — a potem pożar wzniecony przez Chińczyków spopielił zwłoki pomordowanych. Książę Tuan dumny ze zwycięstwa, rozdał swemu żołdactwu sto tysięcy taelów, ryżu w bród i tyle opium, że hajdamactwo odurzało się niem przez całą dobę.

Wieść o zdobyciu poselstw i wymordowaniu europejczyków szybko się rozniosła po sąsiednich okolicach i podniosła zapał Chińczyków. Więc też od tej chwili ruchawka zaczęła ogarniać na północy Mandżuryę, a na południu wicekrólestwo Kantońskie. Jest nawet wiadomość, że jakiś oddział chiński obsaczył rosyjskie miasto Błagowieszczeńsk, leżące nad rzeką Amurem, co jednak uważać trzeba za nieprawdopodobne. Bo wprawdzie rzeka Amur górną częścią swojego biegu dość się zbliża do granicy chińskiej i tam rzeczywiście — jak wiemy z wczorajszego telegramu petersburskiego — pojawiły się oddziały bokserskie, ale Błagowieszczeńsk znajduje się w tem miejscu rzeki Amur, gdzie ona zrobiwszy nagły skręt na północ, wchodzi w głąb posiadłości rosyjskich.

Wedle dzisiejszych telegramów wojska europejskie zdołały nareszcie zdobyć wszystkie forty w Tientsinie. Ten sukces może powstrzyma rozwój bokserskiej ruchawki.

Po wycieczce do Ischlu. — Oznaki wytrzeźwienia.

Piszą nam z Wiednia 17 lipca:

Główną część wczorajszego dnia Cesarz spędził w towarzystwie swego zięcia arcyksięcia Franciszka Salwatora na polowaniu w pobliżu Traunkirchen. Wczoraj i przedwczoraj prezes gabinetu Koerber nie miał więc posłuchania u Cesarza. Dziś p. Koerber wraca do Wiednia. Przypuściwszy, że przed wyjazdem z Ischlu będzie jeszcze przyjęty przez Monarchę, to rezultatem jego wycieczki do letniej rezydencyi cesarskiej będą dwa posłuchania u Cesarza. Że na dwóch audyencyach nie zostały załatwione ważne sprawy i nie zapadły żadne stanowcze decyzye, rozumie się samo przez się. Jeżeli p. Koerber istotnie przedłożył Monarsze ściśle sformułowane propozycye, to oczywiście Cesarz zastrzegł sobie ich gruntowne zbadanie i odłożył odpowiedź na później. Prawdopodobnie jednak prezes gabinetu ograniczył się do zdania Cesarzowi ustnej sprawy o swych rozmowach z posłami różnych stronnictw. W każdym razie dotychczas nie ma żadnej pozytywnej wiadomości o rezultatach wycieczki p. Koerbera do Ischlu. *N. Fr. Presse* w długiej korespondencyi z Ischlu ogłasza same banalne prawdy, jak to, że Cesarz pragnie porozumienia się Czechów i Niemców (któżby tego nie pragnął), że p. Koerber od kolegi Rezeka otrzymuje autentyczne informacye co do stanowiska Czechów i że „na teraz" różne projekta oktrojowań muszą być uważane jako przedwczesne! Inne dzienniki, w miejsce własnych informacyi, powtarzają sprzeczne doniesienia *Hlasu Naroda* i *Narodnich Listów*, nie zawierające nic nowego, ani ważnego. Słowem, pierwsza wycieczka p. Koerbera, jako prezesa gabinetu do Ischlu, nie sprowadziła żadnych stanowczych kroków, ani zwrotów.

Na zjazdach niemieckiego stronnictwa postępowego i młodoczeskiego w Bernie powtarzano same wygłaszane już do przesytu frazesy, które nie mogą sprawić żadnego wrażenia. W Chebie odbył się w niedzielę zjazd stronnictwa niemiecko-radykalnego, na którym przemawiali Schoenerer, Wolf i Iro. Nie tylko, pomimo gości z Bawaryi, udział w tym zjeździe był bardzo słaby, ale nadto wydarzyły się wyraźne demonstracye przeciwko dyktaturze Schoenerera. Wolf przemawiał, jak zwykle, o ruchu „Los von Rom". Poseł ten, który przez pewien czas, w r. 1897, miał ambicyę kierowania polityką obozu niemieckiego w Austryi, coraz wyraźniej zamienia się w... misyonarza protestantyzmu, zrzekając się tem samem wszelkiego wpływu politycznego. Jego organ *Ostdeutsche Rundschau* stał się istną skrzynią dla listów o ruchu protestanckim, starokatolickim, nawet o *Pric od Rima* w wydaniu husyckiem. Z przebiegu niedzielnego zjazdu w Chebie można wnosić, że przy przyszłych wyborach w Czechach Wolf dozna tak samo dotkliwej porażki, jak jej doznał tutaj przy ostatnich wyborach do rady miejskiej.

W obozie czeskim „realiści" zwalczają manię pustej frazeologii. Prof. Masaryk temi dniami na zebraniu publicznem oświadczył: „Ze wstrętu do niemczyzny robi się u nas straszny humbug. Panowie, którzy bez znajomości języka niemieckiego byliby zerami, odradzają innym uczyć się go, aby im niezaglądano w karty. Rękę na serce, któż z was zechce twierdzić, że nie potrzebuje znajomości języka niemieckiego? Potrzebujemy jej czy nie?! Liczne głosy: tak, potrzebujemy jej. Prof. Masaryk: „A więc: Czyż to nam zaszkodzi, gdy głośno powiemy, co sobie szeptamy po cichu?" Pod wpływem „realistów" zebranie wyborców w Pilznie odrzuciło projekt rezolucyi, wygłaszającej klubowi młodoczeskiemu zaufanie, a natomiast uchwaliło rezolucyę, zalecającą ugodę z Niemcami i skrzętną pracę na polu ekonomicznem i socyalnem. Oto lekkie oznaki wytrzeźwienia i słabnięcia szowinizmu po obu stronach.

Korespondencye.

Wiedeń 16 lipca.

(Walki atletów.)

(y). Turniej atletów, jaki odbywa się tu prawie od miesiąca w cyrku Buscha w Praterze, roznamiętniał wprost publiczność tutejszą i wywoływał w niej prawdziwie amerykańskie instynkty. W Ameryce bowiem szaleją wprost ludzie za walkami atletów, a osobliwie bokserów, a jak w Europie niejedna z pań wzdycha do pięknego tenora lub pierwszego amanta lirycznego, tak amerykańskie panie sympatyami swemi darzą muszkularnych bohaterów cyrkowych zapasów i przechowują w swych biurkach ich fotografie. Owóż i tutejsze panie zaczęły już odczuwać w sobie gust amerykański, bo codzień zapełniały tłumnie widownię cyrkową, rzucały kwiaty pod nogi nowoczesnym Goliatom w trykotach, gorączkowały się przebiegiem ich walk, a tak zacięcie biły brawo zwycięzcom, że aż drobne rączki niemal puchły. Największe sympatye pań pozyskał sobie Holender van der Berg, zwany tu holenderskim Apollinem dla pięknej twarzy i rzeczywiście klasycznych kształtów ciała. Gdy van der Berg ukaże się na arenie, najwięcej kwiatów pada mu pod nogi, najwięcej parasolek stuka, najwięcej małych rączek, ubranych w rękawiczki, klaszcze. Chociaż nawet zwyciężony jest van der Berg, — co mu się często zdarza z siłaczami pierwszej wody, jak Pytlasiński, Pons, Kara Achmed, — musi jednak pod presyą oklasków i okrzyków kobiecych ukazać się po walce na arenie i chociaż pobity, przyjmowany jest tak samo owacyjnie, jakby był zwycięzcą. Po van der Bergu największemi sympatyami płci pięknej cieszy się Bawarczyk Hitzler, mężczyzna stosunkowo niewielkiego wzrostu, ale także pięknie zbudowany i niesłychanie zgrabny. Dzięki tej zgrabności udało mu się już kilka razy powalić na ziemię zapaśników o głowę wyższych od niego. Nie mają też panie wiedeńskie nic do zarzucenia Pytlasińskiemu, i owszem przyznają mu, że jest co się zowie pięknym mężczyzną, a jednak nie entuzyazmują się nim, chociaż nierównie więcej zwycięstw ma za sobą, niż van der Berg. Powodem tej obojętności płci pięknej, gromadzącej się codzień w cyrku dla Pytlasińskiego—jest zapewne to, iż Pytlasiński jest żonaty, co więcej, żona przychodzi z nim codzień do cyrku i on tylko nią jest zajęty i tylko z nią rozmawia. Jest między atletami, biorącymi udział w turnieju, jeden, który ma bardzo romantyczną przeszłość za sobą i z pewnością zostałby pierwszym faworytem płci pięknej, gdyby był o kilkanaście lat młodszy. Jest to Hiszpan Chorello, dawny torreador, o bujnej czupurynie i ognistem wejrzeniu. Ponieważ jednak dziś niemal już szósty krzyżyk dźwiga na swych barkach, przeto nie może wytrzymać konkurencyi z trzydziestokilkoletnim van der Bergiem.

Francuz Pons, najwyższy wzrostem z pomiędzy wszystkich zapaśników i prawdopodobny pierwszy zwycięzca w turnieju, nie ma tu ani zagorzałych wielbicieli ani namiętnych przeciwników, — zarzucają mu powszechnie, że ma za długie ręce i że w tem leży tajemnica wszystkich jego zwycięztw, gdyż dzięki tej długości rąk, może najprędzej objąć swego przeciwnika, choćby nie wiedzieć jak grubego. Większą od Ponsa siłą fizyczną odznacza się, jak się zdaje, Turek Kara Achmed, olbrzym o ponurem wejrzeniu. On i Pons są dotychczas niezwyciężeni, mimo to Kara Achmed jest tu dla wszystkich antypatyczny i podczas zapa-

---

75)

SŁAWA

(Kalkstelna część II).

Powieść historyczna z XVII wieku

(z cyklu „O TRON")

przez

ADAMA KRECHOWIECKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wzdrygnęła się Maryś. Ona o swem nazwisku, przeszłości i hańbie zapomnieć pragnęła! Zatem chyląc głowę w wielkiem pomięszaniu, odrzekła cicho:

— Nieszczęśliwa jestem... Sierota...

Zdziwiła Halszkę taka wymijająca odpowiedź, tedy spytała jeszcze:

— A cóż cię tu przywiodło?

Maryś jeszcze ciszej odparła:

— Grzech...

Wyraz ten, jak rozpalone ostrze przeniknął serce Halszki. Więc i ta dzieweczka pokutnicą, jak ona!...

Ujęła głowę jej w obie dłonie i podniosła ku sobie, patrząc w jej piękne oczy, w których błyszczały łzy. W jednem mgnieniu oka w jej dotychczas zamąconej pamięci odbił się cały obraz jej życia. I wczesne a okrutne sieroctwo, i pobyt na dworze księcia Bogusława Radziwiłła, gwałtowna dla niego miłość, i łzy, i srom. A potem, pod moralnym przymusem zawarte z Kazimierzem małżeństwo i okrutne z nim pożycie i walki wszystkie, a wreszcie wyjazd do Birż, ostatnie z Kazimierzem zajście... Co dalej?... noc głucha, pustka, cisza... Tu pamięć wpada w otchłań... urywa się, ginie...

I Maryś zdała się jej w tym momencie najbliższą istotą na świecie; tak samo nieszczęśliwą, tak samo występną i tak samo pokutującą. Objęła dzieweczkę ramieniem i przycisnęła do piersi, szepcząc:

— Obieśmy grzeszne... obie!

W kilka dni później, za przyzwoleniem lekarza, przyprowadzono Zochnę do matki. Sam chorąży Jesman przywiódł ukochaną wychowankę swoją, z której był dumny, wyglądała bowiem nad wiek rozwinięta, a była bardzo piękna. W pięciu latach zdawała się mieć dziesięć, tak wyrosła, taka była kształtna, a w ciemnych, dużych oczach tyle miała nad wiek rozumu. W pierwszych latach życia, wątła i mizerna, teraz twarzyczka jej, okolona złocistemi włosami, tryskała zdrowiem. Po zachorzeniu Halszki, dziecko czas długi wyrywało się i tęskniło do matki, lecz niebawem, pod troskliwą opieką pani Zbikowskiej uspokajać się poczęło, zwłaszcza od czasu, gdy chorąży Jesman, dbały, aby Zochnie pod jego dachem na niczem nie zbywało i aby miała towarzysza zabaw, wziął na wychowanie i pod opiekę zaledwie rok od niej starszego, stryjecznego jej braciszka, Jana Szółkowskiego, którego rodzice w rannem dzieciństwie odumarli. Dzieci odrazu przystały do siebie, a odtąd dworek p. Jesmana rozbrzmiewał ciągle wesołością i śmiechem.

— Niech Zochnie — myślał pan chorąży — pozostaną na całe życie wspomnienia swobodnego dzieciństwa...

Z pewnym tedy przestrachem dowiedziała się Zochna, że ma iść do klasztoru, odwiedzić chorą matkę. Pamiętała ona ją dobrze, ale już przeszło od roku nie widziała jej wcale i rysy matczyne poczęły się zacierać w dziecięcej pamięci. Mówiono jej, że matka chora, że zmieniona bardzo, wymizerniała. A to ją mimowolnie przenikało lękiem.

— Ja się boję, Janku, ja się boję — przyznała się braciszkowi. — Żebyś ty przynajmniej ze mną szedł...

Ale na to pan chorąży zgodzić się nie chciał i, ująwszy Zochnę za rękę powiódł ją na Zarzecze. Zochna szła w milczeniu, o swoim lęku nie mówiła nic dziadkowi, ale gdy weszli na ponury i ciemny kurytarz klasztorny, ze drżeniem przytuliła się do jego ręki.

Przeorysza otworzyła drzwi od celi. Zochna, mimowoli ociągając się nieco, stanęła na progu. I w blaskach słonecznych, padających z okien, ujrzała postać matki. Halszka powstała z miejsca, otworzyła ramiona, lecz wnet opadła bezsilnie, blada bardzo, z zawartemi powiekami.

Rzucono się ku niej, aby ją cucić. Zochna zaś, nie puszczając ręki chorążego, przytulona ku niemu, patrzyła szeroko otwartemi oczyma i szeptała z nietajonym już przestrachem:

— Dziadziu!... o, dziaduniu!...

Ale Halszka wnet otworzyła oczy. Wyciągnęła znów ramiona i na jej bladych ustach ukazał się uśmiech, smutny, łzawy...

— Zochno, dzieciątko moje — wyszeptała.

A Zochna dopiero w tym uśmiechu poznała matkę. I wyrywając się chorążemu, pobiegła w otwarte objęcia.

Przez długi moment nic słychać nie było, tylko jęczące westchnienia, wyrywające się z piersi Halszki i stłumione okrzyki dziecka:

— Och, matuchno!

Aż wreszcie rozłączyć je musiano i stosując się do poleceń lekarza, uprowadzono Zochnę do domu. Halszka tak była wzruszeniem wyczerpana, że nie miała nawet siły opierać się temu.

Ale od tego dnia polepszenie stawało się coraz widoczniejszem. Przychodziły wprawdzie jeszcze chwile ciężkiego smutku, jakby zadumy, lecz Halszka mogła już ją odegnać siłą woli. Najczęściej wówczas przywoływała Zochnę, która przychodziła albo z chorążym, albo z panią Zbikowską, czasem zaś przyprowadzała z sobą i Janka na zabawę w ogrodzie klasztornym.

Ze zdrowiem powracała też Halszce dawna spokojna dzielność i stanowczość w spełnieniu tego, co za swoją uważała powinność.

Raz tedy, gdy dzieci bawiły się wesoło w ogrodzie, Halszka przypatrywała im się długo, a potem rzekła do matki przeoryszy:

— Muszę widzieć się z małżonkiem moim...

Przeorysza nie zbyt temu była rada. Pomna gwałtownego wybuchu Kazimierza, gdy po raz pierwszy ujrzał Halszkę chorą, lękała się i teraz zbyt silnego wzruszenia, pragnęła odwlec tę chwilę.

— Jeszcze jesteś niemocna — mówiła — czekajmy, aż siły zupełnie powrócą.

Ale Halszka czekać już nie chciała i codziennie z coraz większą natarczywością domagała się tego.

— To mój obowiązek święty — powtarzała — Bóg mi zdrowie powrócił nie na to, iżbym tu siedziała bezczynnie. Zochnaspotrzebuje coraz bardziej macierzyńskiej opieki, a on, Kazimierz... Bóg wie, jakie myśli dręczące opanować go mogą w samotności celi klasztornej... Resztę życia zmarnowanego winnam mu oddać...

I dorzucała w myśli:

— Na odpokutowanie...

Rzeczywiście uważała to za najsroższą pokutę. Mimowolnym strachem przejmowała ją sama myśl tego spotkania i tej rozmowy. Lepiej niż kto inny znała ona gwałtowność Kazimierza, której wybuchów nic i nikt powstrzymać nie był w stanie. Lękała się spotkać z jego wyiskrzonem, namiętnem spojrzeniem, ujrzeć tę postać piękną a groźną, tę twarz ponurą, surową, drgającą wewnętrznem wzruszeniem.

Ale postanowienie jej było nie cofnione i raz zrana przyszedł do celi Kazimierza O. Gedeon, zwiastując mu, iż Halszka pragnie z nim się widzieć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

sów jego odzywają się często okrzyki „Pfui“, a bywało już i tak, że rzucano na Turka skórkami pomarańczowemi i krzyczano „Hinaus!“ Turek ten bowiem jest ogromnie niezgrabny i tylko brutalną swą siłą i ciężarem ciała stara się wywalczyć zwycięztwo, a zdarza się, że i podrapie do krwi swego przeciwnika. To też mówią powszechnie, że Kara Achmed dobry jest na tragarza pakunków na dworcach kolejowych, ale nie na mistrza sportu zapaśniczego. Ostatnią wreszcie z gwiazd teraźniejszego „meetingu“ siłaczy jest Francuz Baucairois, najgrubszy ze wszystkich. Kolos ten waży 128 kilogramów, a tak jest gruby, że trudno go w pół objąć. Oprócz tych atletów, którzy wybili się ponad szary tłum, bierze udział w zapasach jeszcze cały szereg innych, jak: Australijczyk Fengler, Bawarczyk Achner, Belgijczycy Robinetti i Petri, Francuzi Desiré i Fournier, Niemcy Hallmayer, Konietzko, Wiedemann, Burghardt i inni. Dotychczasowy przebieg turnieju, który odbywa się już przez 24 wieczorów z rzędu, był następujący: Z licznej rzeszy atletów wybiły się na pierwszy plan cztery gwiazdy, które dotychczas nie zostały zwyciężone, a mianowicie Pons, Pytlasiński, Kara Achmed i Beaucairois. Ci rozbiorą pomiędzy siebie główne nagrody. Największą sławę pomiędzy nimi miał Pytlasiński. Tego roku jednak nie ma on szczęścia i weźmie dopiero czwartą nagrodę, gdyż trzy razy uznany został za pokonanego. Zdaje się jednak, że pokonano go nie sztuką, tylko nieuczciwemi sposobami walki. W starciu bowiem z Beaucairois uderzył go ten ostatni pięścią w bok, skutkiem czego Pytlasiński tak zirytował się, że zrobił taki gest, jak gdyby chciał przeciwnika swego w twarz uderzyć. Opamiętał się jednak i nie uczynił tego, ale był już zdenerwowany i stracił zimną krew, chciał prędko skończyć z otyłym Francuzem, porwał go więc i podniósł do góry, przyczem jednak potknął się o krawędź dywanu i runął na ziemię. Na drugi dzień walczył z Kara Achmedem, ale był już chory i dlatego po półgodzinnej walce został pokonany — onegdaj zaś po 25 minutach walki z Ponsem, zaniechał dalszych zapasów. Bądź co bądź wszyscy przyznają, że najuczciwiej, najszlachetniej walczy Pytlasiński — i że pod tym względem żaden z zapaśników mu nie dorósł.

Od wczoraj zaczyna zmniejszać się zainteresowanie się publiczności temi zapasami atletów, gdyż na wczorajszem przedstawieniu pokazało się, że istotnie pogromcy Pytlasińskiego używają nieuczciwych środków walki. Oto ścierali się ze sobą Turek Kara-Achmed i Francuz Baucairois, a przez pięć kwadransów walczyli z widocznym zamiarem przewleczenia walki przez dwie godziny bez rezultatu tak, żeby się zdawało, iż obaj są tak silni, że nawet po dwóch godzinach jeden drugiego powalić nie może, podczas gdy Pytlasiński z Kara Achmedem walczył tylko 29 minut, a z Baucairois tylko 13 minut i już został uznany za zwyciężonego. To też przewodniczący sądu rozjemczego Strehblow orzekł wyraźnie, że walka obu tych pogromców Pytlasińskiego była niehonorowa, a ponieważ Baucairois obraził się tem i opuścił arenę, przeto przyznano zwycięstwo Turkowi. To spostrzeżenie, zrobione w sobotę, tak zniechęciło publiczność, że podczas gdy dawniej na dzień przedtem nie można już było dostać miejsc w cyrku, to wczoraj był on już do połowy pusty. Bądź co bądź dotychczas już zapłaciła publiczność za bilety wstępu na zapasy przeszło 60.000 złr., więc i atleci zarobili ładny grosz i przedsiębiorstwo urządzające ten turniej.

Podniesienie rolnictwa.

II.

Niejeden przeświadczony jest o korzyściach i zyskowności drenowania, ale pozwala roli kisnąć i wyziębiać się dalej, bo odstraszają go — koszta osuszenia. Podniesienie kultury ziemi niewątpliwie kosztuje; podniesienie zdrowia, wygody, szczęścia osobistego przez małżeństwo kosztuje także, przecież nikt się nie cofa przed nakładami na rzecz przyszłości. Czemu tedy nie zabiegać, nie starać się o przemianę ziemi z obojętnej, niewdzięcznej służebnicy, na kochającą małżonkę, odwzajemniającą się za pieczę naszą i zachody.

Rozumie się, że instytucye powołane do współdziałania w akcyi zdrenowania ziemi, winny uwzględniać trudne położenie finansowe ziemian naszych. Że w tym kierunku początek pewien został zrobiony, dowodem poniższy ustęp z odezwy oddziału melioracyjnego lwowskiej filii Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu:

„Finansowanie powyżej wymienionych prac następuje podług poszczególnej umowy, więc bądź to za gotówkę, bądź też tytułem pożyczki, której uregulowanie od każdorazowej umowy zależy. Ponieważ zaś chcąc podejmować się wykonania melioracyi na większą skalę musimy mieć kapitały zawsze gotowe, dlatego nie jesteśmy w stanie więzić kapitału na dłuższy czas w jednem przedsiębiorstwie i wycofać go w biegu kilkunastu lat w postaci renty amortyzacyjnej, który to rodzaj pożyczki byłby najdogodniejszym dla właścicieli meliorujących swoje dobra — ale musimy starać się o to, aby jakie przedsiębiorstwo hipoteczne ziemskie przyjmowało na siebie ów kredyt. Dlatego zgłaszamy się do galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego z uprzejmą prośbą o udzielanie pożyczki hipotecznej lub podwyższanie już istniejącej właścicielom meliorującym swoje włości. Gwarancya nasza za prawidłowe wykonanie prac melioracyjnych, oraz ciągła nasza kontrola, czy melioracya jest utrzymywaną w należytym porządku, daje rękojmię pewności wyłożonego kapitału, a na podstawie teoretycznych i praktycznych rezultatów ogólnie zrobione doświadczenia wykazują, że majątek ziemski po melioracyi, przeważnie drenowaniu, nabiera aż do 30 prc. większej wartości. Gdyby więc gal. Towarzystwo kredytowe ziemskie zechciało odstąpić od zasady ponawiania oszacowań majątków tylko w terminach 10 letnich, lecz po każdorazowem wykonaniu melioracyi, i zbadawszy wynik takowej, poddało ponownemu oszacowaniu, to na podstawie rezultatów tych badań zawsze będzie mogło udzielać hipotecznej pożyczki dodatkowej do zupełnej wysokości kosztów melioracyi“.

Na powyższe podanie wpłynęła w początkach marca b. r. odpowiedź przychylna, a mianowicie: Ogólne zebranie delegatów wezwało dyrekcyę galic. Tow. kredytowego ziemskiego, „ażeby we wszystkich tych wypadkach, w których Bank galicyjski dla handlu i przemysłu w Krakowie lub jego filia we Lwowie zamierza przeprowadzić melioracye rolne, już z góry to jest przed rozpoczęciem robót melioracyjnych, zbadała, czy i pod jakimi warunkami na majątek meliorować się mający będzie można udzielić jeszcze pożyczki dodatkowej i w przybliżeniu w jakiej wysokości. — Na podstawie wyniku swoich badań będzie dyrekcya galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego dawała Bankowi galicyjskiemu dla handlu i przemysłu warunkowe przyrzeczenie, że na majątek, skoro melioracya zostanie przeprowadzoną i ukończoną, udzieli pożyczki dodatkowej“.

Nadmienić tu trzeba jeszcze, że plany i kosztorysy bezpłatnie wygotowuje, jak wiadomo, wydział krajowy. — Rzecz prosta, że koszta rosną w miarę gęstości sączków. Niestety, ziemia nasza wymaga gęstego drenowania, ponieważ podglebie w Galicyi, tak zwana glina podkarpacka jest mocno nieprzepuszczalną. Zaleca się jednak szczegółowe zbadanie terenu; wielką bowiem byłoby niepraktycznością kłaść tam, gdzie podglebie jest więcej przepuszczalne, sączki w odległości naprzykład 12 metrów od siebie. Kładąc nacisk na konieczność gęstego drenowania w naszym kraju, przyjmujemy najgęstrze osączkowanie na nieprzepuszczalnem podglebiu na 12 metrów a najrzadsze na 18 metrów, przyczem zawsze uważamy za pewnik, że podglebie zbadane zostało ze zrozumieniem, nie szematycznie, i że podług wyników badań unormowano odległość sączków. Wiadomo, co spotyka tego, „qui trop embrasse;“ zawsze zważać tedy trzeba na to, aby przedsiębrane środki odpowiadały celowi; jeżeli się więc bez potrzeby za wiele włożyło pieniędzy w drenowanie, mniej naówczas doliczyć się można zysku z osączkowania. Ci, którzy zbyt gęsto opaszą matkę-ziemię sączkami, rozmieszczając naprzykład dreny w odległości 10 metrów, kładą w morg 62 zł., gdy tymczasem przy zupełnie tak samo działającem, kompletnie wystarczającem drenowaniu w odległości 12 metrów kosztuje morg tylko po 57 zł. Pocóż 5 zł. zaprzepaszczać w morgu, jeżeli przy tak samo skutecznem drenowaniu (na odległość 12 metrów), każdy 11 lub 12-ty morg zdrenowany byłby zadarmo.

Wysoce niepraktycznem, bo zbyt kosztownem jest także zakładanie drogich wylotów murowanych i cementowanych. Wylot taki kosztuje około 16 złr. Tymczasem można urządzić odpływ dla wody z sączków już za 7 złr.; zakłada się po prostu fundament z kamieni, odarniowuje się szkarpy rowu i umieszcza w niem wylot dębowy, wylany wrzącem karbolineum. Wylot murowany wygląda wprawdzie wspanialej, atoli nie budujemy przecież chlewów z wieżami i arkadami, lecz tylko budynki trwałe, wygodne i odpowiadające celowi.

Na zakończenie tej rozprawki o kosztach drenowania, niechaj wolno nam będzie podać krótką tabliczkę ogólnych obrachunków.

Według doświadczeń, poczynionych w Niemczech, a zastosowanych do warunków galicyjskich, kosztuje wydrenowanie jednego morga:

62 do 70 złr.:	odległość sączków:	10	metrów.
57 „ 62 „	„ „	12	„
52 „ 57 „	„ „	14	„
47 „ 52 „	„ „	16	„
42 „ 47 „	„ „	18	„

Rozumie się, że ceny te obejmują tylko koszta drenowania; nie wliczyliśmy w nie ewentualnych kosztów odpływów, jak kopanie rowów, kanałów i t. p.

Koszta osączkowania przedstawiają się w zestawieniu powyższem nader rozmaicie, zależnie od gęstości rozmieszczonych sączków.

Ziemianie nasi, przystępując do drenowania, nie powinni zatem spuszczać z oczu dwóch warunków:

1) nie przesadzać w oszczędności, t. j. nie decydować się na zbyt rzadkie rozłożenie sączków, gdyż naówczas działanie takiego osączkowania nie jest zupełnem, t. j. obszar ziemi między dwoma sączkami nie zostaje należycie spulchniony i osuszony;

2) nie szafować środkami na drenowanie zbyt rozrzutnie, t. j. nie układać sączków zbyt blizko obok siebie, gdyż jakkolwiek gleba na tem nie ucierpi, wydajność jej nie podniesie się także nad miarę i do tego stopnia, żeby wróciły się z procentem znacznie wyższe koszta drenowania.

W ciężkiej glinie (ił) przy dobrym spadku terenu nie drenują w Niemczech bezwarunkowo gęściej, jak na 12 metrów i to tylko w rzadkich wyjątkach; drenowanie przy 16 metrach odległości sączków od siebie, należy tam już do bardzo gęstych.

Niedomagania kolei państwowych

w Austryi.

Wiadomo już, że rezultat finansowy austryackich kolei państwowych był w roku ubiegłym bardzo niepomyślny. W okresie bowiem, w którym prawie wszystkie koleje prywatne wykazują znakomity rozwój i zwiększanie się dochodów, koleje państwowe przyniosły przeszło o 4 miliony złr. mniej, niż wstawiono do preliminarza, bardzo zresztą bojaźliwie układanego. — Zamiarem rządu jest, jak wiadomo, podnieść rentowność kolei państwowych przez podwyższenie niektórych taryf, co ostatecznie odbiłoby się tylko na konsumentach, bo fabrykanci z pewnością nie zechcą przyjąć na siebie ciężaru opłacania wyższych należytości przewozowych, lecz zwalą go na odbiorców przez podwyższenie ceny swoich wyrobów, a fabrykanci cukru już nawet zapowiedzieli, że tak uczynią. Zresztą w sferach fachowych powątpiewają nawet, czy zamierzone przez rząd lekarstwo odniesie pożądany skutek i zwiększy rentowność kolei państwowych, gdyż, zdaniem tych sfer, niedomaganie tych kolei jest następstwem z gruntu chybionej polityki, jakiej trzymały się dawne rządy przy upaństwowianiu prywatnych linii kolejowych. Upaństwowiano bowiem wiele takich linii, co do których z góry można było przewidzieć, że trzeba będzie do nich dokładać, najrentowniejsze zaś i największą przyszłość przed sobą mające pozostawiono nadal w prywatnem posiadaniu, stwarzając w wielu wypadkach niebezpieczną konkurencyę dla drogo nabytych lub nowozbudowanych linii państwowych... Nietylko ujemne rezultaty finansowe, ale także inne cyfry sprawozdania o ruchu na kolejach państwowych w roku ubiegłym dają ludziom fachowym wiele do myślenia. Przedewszystkiem stwierdzają oni, że wzrost ruchu na kolejach państwowych był stosunkowo nieznaczny. Ogólna długość linii kolejowych, będących w zarządzie państwa, wynosiła z końcem roku ubiegłego 10.935 kilometrów. Po tych liniach przebiegło w ciągu całego roku 1,175.815 pociągów, które zrobiły łączną drogę 60,291·528 kilometrów.

Suma zatem odbytej drogi zwiększyła się w porównaniu z rokiem ubiegłym o 3,208.509 kilometrów, czyli o 5%, z tej nadwyżki przypada jednak tylko 817.261 kilometrów na pociągi towarowe, zaś zwiększenie się drogi odbytej przez pociągi osobowe ma swe źródło w tem, iż przybyła kolej miejska w Wiedniu, ogromnie uczęszczana, na której od świtu do północy odchodzą pociągi co sześć minut. Ściśle zatem rzeczy biorąc, normalny wzrost ruchu na kolejach państwowych w roku ubiegłym równał się niemal zeru.

Rachunkowo wykazuje bilans zwiększenie się ogólnej sumy wszyskich dochodów kolei państwowych (124,150.000 zł.) w porównaniu z rokiem poprzedzającym o kwotę 1,634.000 zł., wszelako i na to złożyły się głównie dochody z nowo wybudowanej kolei miejskiej w Wiedniu (1,024.000 złr.) tak, że jeżeli się tę kwotę potrąci, to okaże się, że właściwie dochody z przewozu osób i pakunków wzrosły tylko o 600.000 zł. czyli o $^{36}/_{100}$%. Wielce znamiennym jest ten fakt, że dochody z przewozu towarów nie tylko nie wzrosły w porównaniu z rokiem 1898, ale przeciwnie spadły o 337.000 zł.

Drugim wielce ujemnym objawem jest to, że właściwie i frekwencya pasażerów na kolejach państwowych spadła w porównaniu z rokiem 1898. Wszystkich biletów jazdy dla podróżnych wydano w roku 1899 62,900.000, a zatem o 11,372.000 więcej niż w roku 1898. Jeżeli się jednak zważy, że sama wiedeńska kolej miejska, której nie było wcale w roku 1898 wydała 12 milionów biletów, to okaże się że właściwie zmniejszyła się liczba podróżnych na kolejach o 600.000 osób. Jest to objaw bardzo niepomyślny, bo jak wiadomo koleje prywatne na podstawie długoletnich doświadczeń liczą niemal na pewno na coroczny przyrost frekwencyi podróżnych przeciętnie o 3 prc.

Nie bez interesu będzie porównanie rentowności kolei państwowych w Austryi z rentownością tych kolei w innych państwach. Owóż w Austryi wynosił w roku ubiegłym dochód kolei państwowych przeciętnie 13.554 zł. z kilometra, zaś pruskie koleje państwowe dały z kilometra 23.424 zł., bawarskie 15.348, saskie 22.310, a węgierskie 11.515 zł. — a zatem tylko węgierskie koleje państwowe dają mniejszy dochód od austryackich. Natomiast jednak są węgierskie koleje państwowe z tego względu w korzystniejszem położeniu od austryackich, że ich koszta administracyjne są znacznie mniejsze.

W ogóle administracya kolei państwowych jest w Austryi najdroższą a najtańszą w Prusiech, jak to się okazuje z następującego zestawienia procentowego. W Austryi z ogólnej sumy dochodów pochłania administracya i utrzymanie kolei $75^{63}/_{100}$%, w Saksonii $71^{94}/_{100}$, w Bawaryi $66^{85}/_{100}$, na Węgrzech $60^{81}/_{100}$, a w Prusiech tylko $57^{15}/_{100}$%. Odpowiednio do tego rentuje się także w Austryi stosunkowo najgorzej kapitał włożony w koleje państwowe. Kapitał ten wynosi z górą 1200 milionów zł., ponieważ zaś cała nadwyżka czystego zysku, jaką dały w r. 1899 koleje państwowe po opędzeniu wszystkich wydatków, wynosiła 30,300.000 zł., przeto rentowność kapitału włożonego w koleje, wynosiła $2^{46}/_{100}$%, na Węgrzech zaś przyniosły koleje państwowe $3^{65}/_{100}$, w Bawaryi $3^{71}/_{100}$, w Saksonii $4^{11}/_{100}$, a w Prusiech aż $7^{16}/_{100}$%. Że rentowność austryackich kolei państwowych jest tak mała, jest głównie następstwem błędów popełnionych przez dawne rządy, o których na początku wspomniano, a mianowicie, że rząd nietylko wykupywał najgorsze linie, ale nadto za drogo za nie płacił.

Co i o czem piszą.

W Berlinie wychodzą dwa polskie pisma: *Gazeta robotnicza* i *Dziennik berliński*, mające na celu bronienie interesów Polaków, zamieszkałych w Berlinie i chronienie ich przed wynarodowieniem. O trudnościach, tak moralnych, jak i materyalnych, jakie redakcye tych pism mają do zwalczania, tudzież o dodatnich wynikach ich działalności opowiada w *Kraju* pan Wierzbięta, który, bawiąc jakiś czas w Berlinie, miał sposobność poznać dokładnie stosunki tych pism. P. Wierzbięta pisze:

Redakcya *Gazety robotniczej* znajduje się przy Stralauer-Platz. Mała, uboga kamieniczka, żadnego napisu, żywej duszy nie widać, od której zasięgnąć mógłbym języka. Po ciemnych, drewnianych schodach wędruję tedy na górę, czytając nazwiska po drodze na poprzybijanych na drzwiach biletach. Jest! Czytam „Franciszek Morawski“,— tak się nazywa redaktor *Gazety*, — dzwonię. Słyszę głos dzwonka, przerywającego piskliwie głuchą ciszę tego niemego domu. Dzwonek przycichł, czekam, dobra chwila mija, nim uchylają się drzwi...

Nie, polscy redaktorowie w Berlinie milionerami nie są, to pewna. Są natomiast ludźmi uprzejmymi i dobrze wychowanymi, z którymi rozmawia się z całą przyjemnością. Średniego wieku i średniego wzrostu, krępy redaktor zaprasza mię w swe progi i prowadzi pod okno do stolika, zawalonego papierami, od których na me przyjęcie się oderwał. Są i dwa krzesła — rozpoczyna się gawęda.

P. Morawski jest wydawcą *Gazety robotniczej*, a *Gazeta* ta jest organem (proszę się nie wystraszyć!) socyalistycznym. Nie uważałem za stosowne wszczynać z p. Morawskim dysputy o socyalizmie, ale, pamiętając, że *Gazeta* przeciwko międzynarodowcom poznańskim stanowczo broniła odrębności polskich robotników i konieczności narodowej obrony Polaków, zapytałem go o usposobienie berlińskich Polaków pod względem narodowym i o ich narodową odporność. P. Morawski z całą uprzejmością dał mi odpowiedź jasną, a bezstronną.

— Czy się Polacy w Berlinie wynaradawiają?— mówił. — Niestety tak. Przyjąć można za zasadę, iż w całych Niemczech Polacy wynaradawiają się szybko, o ile żyją rozstrzeleni, nie zorganizowani w towarzystwa. Do Berlina ściągają przedewszystkiem rzemieślnicy polscy; wyrobnicy skupiają się przeważnie w przemysłowych i fabrycznych centrach. Jedni i drudzy, przeniósłszy się do bogatego miasta, czy w wysoko pod względem przemysłowym stojące okolice, ulegają pewnemu oszołomieniu: to, co niemieckie, wyższem im się wydaje od rzeczy swojskich, imponuje im i sprawia, że czują się upokorzonymi, iż są Polakami! Stąd do chęci zostania Niemcem już jeden tylko krok; tylko brak biegłości w języku niemieckim do czasu temu staje na przeszkodzie. Dzieci tej trudności nie mają; wręcz jest zdumiewającem, jak szybko sobie przyswajają obcy język. W czysto polskich domach dziecko nie słyszy nieraz niemieckiego słowa; gdy podrośnie i wyjdzie na ulicę, z ulicy pierwszego niemal dnia powraca, szwargocąc w najlepsze.

— Tyle widuje się nazwisk polskich na szyldach berlińskich, czy to są Polacy?

— Bardzo wyjątkowo. Większość zgermanizowana zupełnie. Właśnie ci rzemieślnicy, którzy się dorabiają i zakładają sklepy, germanizują się tem szybciej. Ze względu na klientelę, by jej nie zrażać, słowa nie mówią po polsku. Wstydzą się prócz tego ubogich znajomości polskich i starają się wejść w towarzystwa niemieckie, co za sobą pociąga rodzinne związki.

— Więc ochroną narodowości są polskie towarzystwa. Czy Polacy do towarzystw zapisują się licznie?

— Z czasem prawie wszyscy dają się zaciągnąć do jakiegoś towarzystwa, ale nie wszyscy do polskiego. Na tych, co weszli do towarzystw niemieckich, wszystko jedno jakich, katolickich czy socyalistycznych, czy jakichbądź innych, na tych krzyżyk możemy położyć: ci się niemczą stanowczo. Opierają się germanizacyi tylko ci, co należą do towarzystw polskich, również bez względu na odcień towarzystwa polityczny lub społeczny. Ale tych jest względnie nie wielu. Polaków liczą w Berlinie do 70 tysięcy; nie wiem czy dwa tysiące należą do towarzystw polskich. I w tych towarzystwach większość członków bywa dość obojętna pod względem narodowym. Stoją one energią i zapałem kilku ludzi, ale tych kilku ludzi w każdem towarzystwie niezmiernie zbawienny wpływ wywiera, skupiając razem Polaków. Jak jedno słowo, wypowiedziane w porę, ochronić może całą rodzinę od wyparcia się swej narodowości, objaśni pana najlepiej przykład. Zdarzyło się to nie tak dawno w Berlinie. Świeżo zaciągnięty do pewnego przedsiębiorstwa pan B. pyta kolejno swych podwładnych o nazwiska:

— Seltersack! — odpowiada jeden robotnik.

— Zkąd rodem?

— Z Bronisławia.

— Z Bronisławia? Ja jestem z Bronisławia: tam ani jednego Niemca nie ma, a o żadnym Seltersacku nikt nie słyszał.

— Bo też tam nas nazywają... Sołtysiak!

— Syn Wojciecha? I nie wstyd ci człowieku!

I Sołtysiak został z powrotem Polakiem.

— Czy *Gazeta robotnicza* rozchodzi się przeważnie w Berlinie?

— O, nie, tutaj mamy ledwie 450 odbiorców. Głównie rozchodzi się na Szlązku, potem w Poznańskiem i w Westfalii.

Rad z otrzymanych informacyi, złożyłem uprzejmemu redaktorowi gorące podziękowanie, poczem udałem się do redakcyi *Dziennika berlińskiego*. Redaktor jego p. Wróbel z prawdziwie koleżeńską gotowością udzielił mi wszelkich wyjaśnień. Oto szkielet naszej rozmowy.

— Germanizacya naszego ludu — mówił p. Wróbel — trwa tutaj, niestety, ciągle. Zaprzeczyć jednak nie można, iż jest obecnie lepiej nieco, niż dawniej. Powód poprawy stosunków dwojaki: najprzód, że rzemieślnicy polscy, przybywający obecnie do Berlina, stoją pod względem wyrobienia i poczucia narodowego znacznie wyżej; powtóre, że towarzystwa polskie stały się żywotniejsze i ruchliwsze. Dawniej rzemieślnik, przybywszy do Berlina, nie miał pod względem narodowym żadnego oparcia, nie przynosił też ze swych stron rodzinnych poczucia potrzeby obrony narodowej. Żył z Niemcami, żenił się z Niemką, a dzieciom wydawało się już, że są rodowitymi Prusakami. Z tych czasów ta masa szyldów o wykoszlawionych polskich nazwiskach, która uderza w Berlinie. Rzemieślnik polski, przyjeżdżający obecnie, ma często wyższe wykształcenie, wie, co jest Niemiec, a co Polak, i porównywując dwie narodowości, nie czuje się upokorzonym, przeciwnie, ma poczucie godności i narodowej dumy. Zawziętość niemiecka przeciw Polakom podnieca go raczej do tem twardszego oporu. To rzemieślnik. Gorzej, bardzo źle się rzecz ma z wyrobnikiem polskim, który rzemieślnikowi oświatą nie dorównywa. Najgorzej zaś z wyrobnikiem, który prosto ze wsi tu przyciągnął. Ciemnemu chłopu Niemiec imponuje niezmiernie, a z kraju nie przynosi on tutaj poczucia narodowego, wyrobionego dostatecznie. Zarabia około 20 marek tygodniowo, żona też przysparza rodzinie dochodów swą pracą, więc je codziennie mięso, popija piwo (rzecz dla niego niesłychana!) czuje się jak w raju, w niemieckim raju, w niedzielę idzie „na dudy“, niemiecki koncert, a gdy mówić mu o jego polskości, odburknie niechętnie:

— A dy ja to wiem, jak mi było pod panem!

Polskość kojarzy się w jego wyobrażeniach z pojęciem „pod panem“, to jest z losem wiejskiego wyrobnika, który mięsa nie wącha, a o „dudach“ ani słyszy. A są tu takiej ludności całe masy; tak w Berlinie, jak przy okolicznych fabrykach, cegielniach, są osady polskie robotnicze po 3 do 4 tysięcy ludzi, do których słowo polskie z zewnątrz nie dociera, nie dbających ani o polskie kazanie, ani o polskie pismo; jest to masa pod względem narodowym stracona, o ile cudem chyba ktoś do niej nie dotrze...

— Wśród tej masy nie ma pan czytelników?

— Staram się ich pozyskać nie *Dziennikiem*, ale *Niedzielą*, pismem tygodniowem z obrazkami, które w 500 egzemplarzach rozsyłam po tych osadach. Ale idzie to opornie. Przytem brak mi klisz, przedstawiających rzeczy polskie, które mogłyby ich zająć. Klisz udziela mi bowiem pewne wydawnictwo katolickie niemieckie.

— Powróćmy do spraw berlińskich. Jak działają tutejsze towarzystwa?

— Wspominałem panu, że stosunki się nieco poprawiły. Zwrot na lepsze dokonał się za czasów pobytu tutaj ks. Wawrzyniaka, który temi towarzystwami się zajął, wlał w nie nowe życie, zawiązał spółkę pożyczkową „Skarbonę“ i powołał do życia komitet: wspólny organ wszystkich tutejszych towarzystw, łagodzący dawniejsze swary i usuwający powody nieporozumień. Największe życie panuje u „Sokołów“; „Harmonia“ też szczyci się chórem o stu głosach. „Oświata“ robi dużo dobrego, wspomagana przez wszystkie towarzystwa. Z budżetem rocznym 1.500 marek, dostarcza polskich elementarzy, zachęca do uczenia się po polsku, a latem 50—60 dzieci wysyła swym kosztem w strony rodzinne.

— Ilu Polaków jest w Berlinie, — ciągnął p. Wróbel dalej w odpowiedzi na me pytanie — powiedzieć trudno. Mówią o dziesiątkach tysięcy, ale zróbmy taki przybliżony rachunek: towarzystwa polskie liczą rzeczywistych członków nie wiele po nad tysiąc. Na narodowe uroczystości, urządzane przez te towarzystwa, zbiera się po 3 do 4 tys. ludzi, nie zawsze tych samych. Przyjąć więc możemy, iż poczuwających się do polskości Polaków jest w Berlinie 10 tysięcy — reszta to ta ciemna masa, skazana na germanizacyę, o ile nie będzie energicznej pomocy. Z przykrością dodać muszę, że w tej ludowej masie kobiety nie stanowią żywiołu narodowo odporniejszego. Przeciwnie, one najbardziej wstydzą się swej polskości i, mieszkając w niemieckim domu, na swego Władka wołają: „Hans!“, by się z polskością nie zdradzić.

— Poproszę pana o bliższe szczegóły co do *Dziennika Berlińskiego*; wszak jest on pierwszem pismem polskiem w Berlinie?

— Nie. Istniała dawniej *Gazeta Polska*, przez lat kilka wychodząc dwa razy na tydzień. *Dziennik Berliński* powołał do życia ks. Wawrzyniak, dostarczywszy pierwszych funduszów na jego założenie. Redaktorami byli dr. Czachowski i dr. Rakowski (Radwan). Finansowo przedsiębiorstwo nie szło; po pół roku zawiązała się nowa spółka, która też nie dłużej wytrzymała, jak pół roku. Wtedy ja nabyłem *Dziennik* i drukarnię. Z zawodu drukarz, byłem wówczas zarządzcą drukarni, czynności właściwe redakcyjne powierzyłem p. Rakowskiemu, potem pomagał mi p. Kotowski, potem inni. Oczywiście musiałem się zadłużyć, by pismo i drukarnię nabyć, a pismo nie dawało dochodów. Trzeba się było wziąć samemu do roboty i wszystkie czynności zespolić w jednej osobie. Sam odtąd robię wszystko. Robota jest ciężka, nieraz trwa od godziny 6 rano do 11 wieczorem, ale mam to zadowolenie, że pismo stoi już samodzielnie: końce potrafię związać. Sama prenumerata tu nie wystarcza (*Dziennik*, wraz z tygodniowym dodatkiem literackim *Polak na obczyźnie*, kosztuje 80 fenigów miesięcznie, a *Niedziela* — 50 fenigów kwartalnie; mam zaś tysiąc abonentów), ale dochód z ogłoszeń i z drukarni pokrywa niedobór.

— Przypuszczam, że Polacy w Berlinie popierają *Dziennik* gorąco, że jest ich ambicyą, by jedyny dziennik polski w Berlinie stał na wysokości swego zadania?

— Pan jesteś, jak widzę, optymistą — odparł p. Wróbel z uśmiechem — *Dziennik* stoi nieźle, bo wyrobił sobie stanowisko, bo ludzie liczyć się z nim poczynają, ale zapału powszechnego do jego popierania nie ma... Powiem panu naprzykład, że gdy na jednem zebraniu odezwał się głos, wzywający do popierania pisma, wywołało to odpowiedzi: każdy niech siebie popiera, nas tu nikt nie popiera!

— Jakto? Polacy tutaj nie rozumieją, że popierając pismo polskie, służą sobie samym? Że wzrost prenumeraty odbija się na ożywieniu pisma, daje mu możność starania się o dobre artykuły, o dobre wiadomości?

— Miejmy nadzieję, że z czasem do tego dojdzie. W każdym razie, ja rąk nie założę. Włożyłem w to pismo trzy lata ostrej pracy, — stanęło na nogi: zrobię, co mogę, by wzrosło, a nie upadało! Przyjemność mi sprawia myśl, że wzrost pisma stoi w związku z wzrostem poczucia narodowego: *Dziennik* je budzi, ile tylko może, i nawzajem, im jest go więcej, tembardziej będzie się rozwijał. A że poczucie narodowe, przy dobrych chęciach i zabiegach ludzkich, przenikać będzie coraz głębiej — w to ufam. Każda na tem polu robota wydaje namacalne i szybkie owoce. Niektóre np. towarzystwa urządzają przedstawienia amatorskie. Czynią to dla pomnożenia swych dochodów, bo ze składki miesięcznej członków (25—50 fenigów) kosztów pokryć trudno. Otóż wiem wypadki, że gdy dawano przedstawienia dziecinne (grano sztuczki Chociszewskiego), zniemczone już dzieci napierać się zaczęły rodzicom, by je uczyli po polsku, bo i one chcą wystąpić na polskiej scenie. Widzi pan, jak każda narodowa robota daje owoce, na które się nawet nie liczyło. Jest to dla nas zachętą; dla mnie jest zachętą w każdym razie, i mogę pana zapewnić, że pracy swej w redakcyi i drukarni i nadal szczędzić nie będę.

KRONIKA.

Lwów 18 lipca.

Cesarz w obec powodzi w Galicyi. Cesarz na wiadomość o klęsce powodzi, jaka nawiedziła wschodnią część naszego kraju, polecił Prezydyum Namiestnictwa przedłożyć sobie bezpośrednio raport o rozmiarach i skutkach klęski, a po otrzymaniu tego raportu przeznaczył z własnej szkatuły 20.000 koron na doraźne wsparcie najbiedniejszych powodzian.

Akcya ratunkowa. Poseł do Rady państwa Seweryn Henzel, jako przewodniczący zgromadzonych we Lwowie posłów z powodu klęski powodzi, udał się w myśl powziętych uchwał do prezydenta namiestnictwa Lidla i do naczelnika biura prezydyalnego starosty Zaleskiego, gdzie otrzymał dokładne i uspokajające wyjaśnienie co do całego planu akcyi, jaką namiestnictwo wdrożyło i dalej energicznie przeprowadzać będzie, nietylko celem doraźnej pomocy lecz i celem zabezpieczenia dalszego bytu ludności, zniszczonego przez powódź. Wystosowane telegraficznie żądania do prezydenta ministrów i ministra skarbu uznano za odpowiednie w chwili obecnej, gdyż oparte są na prawdziwych faktach.

Prezydent dyrekcyi skarbowej dr. Korytowski zapewnił posła Henzla, że wydał już do podwładnych organów okólnik co do wstrzymania egzekucyi w okolicach klęską powodzi nawiedzonych i że zarządzi co potrzeba, aby szkody celem odpisu podatków jak najśpieszniej oszacowano.

Zastępca marszałka w Wydziale krajowym prezes Chamiec przyrzekł udzielić z funduszów krajowych na doraźną pomoc dla powodzian jak największą kwotę, jaką Wydział bez odwołania się do Sejmu rozporządzić może.

Obłóczyny u PP. Benedyktynek obrz. łać. we Lwowie odbyły się onegdaj, jako w dniu NMP. Szkaplerznej. Z sześciu aspirantek cztery weszły do pierwszego chóru, a to pp.: Władysława Julianna Dyduszyńska, Laurencya Feliksa Sabatowicz, Stanisława Edyta Gawlikowska, Zofia Klaudya Pozorska, a dwie pp.: Marya Odylona Bacheracz i Marya Bonifacya Miciak do drugiego chóru.

Podziękowanie dla dyrektora Wierzbickiego. U dyrektora kolei państwowej we Lwowie p. Wierzbickiego była deputacya kuśnierzy z Tyśmienicy z dyrekcyą krajowego związku przemysłowego na czele, aby mu podziękować za gorliwe i skuteczne popieranie kuśnierstwa. Dzięki bowiem staraniom i zarządzeniu p. Wierzbickiego, otrzymali kuśnierze z Tyśmienicy w r. 1898 znaczną dostawę kożuchów na lat dwa, co miało ten skutek, że przemysł ten dźwignął się i rozwinął, rozrzuceni kuśnierze zorganizowali się, zakupili maszyny, oraz znaczne zapasy materyału surowego, a Bank krajowy udzielił im taniego kredytu. W ten sposób Towarzystwo kuśnierzy w Tyśmienicy wydobyło się z pod zależności handlarzy skór, tak, że samo obecnie dyktuje ceny materyału surowego. Ten jeden przykład może być dowodem, jak przy dobrej woli naczelników naszych instytucyi rządowych i krajowych przez danie pracy rzemieślnikom, można ich wyrwać z rąk niesumiennych pośredników i wprowadzić przemysł na właściwe tory rozwoju.

Teatr ludowy (Rozmaitości) pod dyrekcyą Antoniego Czajkowskiego, znany już publiczności lwowskiej z występów zeszłorocznych, zawitał i w tym roku do Lwowa i rozbił swój namiot pod rogatką Łyczakowską w ogrodzie „Hotelu de Laus“, co jest tem szlachetniejsze, iż nie grozi konkurencyą naszym artystom w gmachu skarbkowskim. Pan Czajkowski daje ze swą trupą od niedzieli przedstawienia; dzisiaj wystawi sztuki: Anczyca „Łobzowianie“ i Korzeniowskiego „Majster i czeladnik“, utwory bardzo popularne i zawsze lubiane. Rzetelna praca tej drużyny teatralnej, znana już z roku poprzedniego, zasługuje na życzliwe poparcie.

Ruch przedwyborczy. Rozpoczęła się już agitacya dla uzupełniających wyborów dziewięciu posłów do Sejmu, które odbędą się dnia 4 września. W Skałackiem po ś.p. Koziebrodzkim wysuwa jakiś komitet chłopsko-ruski znanego radykała ruskiego Huryka, zwolennika rozdarcia Galicyi na dwie połowy. Z miast Jasło-Gorlice kandyduje p. Wojciech Biechoński, a z Sanoka-Krosna sekretarz magistratu sanockiego, p. Ludwik Świerczyński.

Wypadek w górach zakopańskich. Lekarz dr. Kronenberg, który robił wycieczkę bez przewodnika, spadł z lodowca i złamał sobie rękę oraz odniósł ciężkie uszkodzenia na głowie i nogach. Leczy się w zakładzie dra Chwistka.

Tyfus brzuszny szerzy się we Lwowie. Chorzy na tyfus znajdują się w domach pod l. 14, 16, 18 i 20 przy ul. Gródeckiej; l. 2 i 4 przy ul. Kotlarskiej; l. 39 i 41 przy ul. Słonecznej i l. 5 przy ul. Starozakonnej.

Zjazd lekarzy i przyrodników w Krakowie. Komitet zjazdu tego zwraca uwagę, że posiedzenia ogólne (dnia 21 i 24 bm.) odbędą się w sali teatralnej, która w Krakowie jest największą. Prezydent miasta i dyrektor teatru chętnie pozwolili na odbywanie w niej posiedzeń zjazdu. — Biuro pocztowe, które dzięki przychylności dyrekcyi poczt i p. dyrektora Bilińskiego w Krakowie otwarte zostanie na czas zjazdu lekarzy i przyrodników w gmachu Collegium novum (na parterze), załatwiać będzie wszelkie czynności pocztowe, oprócz telegraficznego przesyłania pieniędzy. Biuro to stanowić będzie VI filię pocztową w Krakowie; dlatego wystarczy adresowanie listów do uczestników zjazdu: *poste restante Kraków VI.* — Również w gmachu „Collegium novum“ funkcyonować będzie począwszy od jutra (czwartku) biuro informacyjne, gdzie uczestnicy otrzymają karty uczestnictwa i wszelkie objaśnienia w sprawach zjazdu. — Raut, wydany przez miasto Kraków na cześć uczestników zjazdu odbędzie się dnia 23 bm. o godzinie 8 1/2 wieczór w salach Grand-Hotelu.

O panu Kamińskim, tyle cenionym artyście sceny krakowskiej, nadchodzą z Krakowa coraz inne wiadomości co do tego, czy on pozostanie na scenie krakowskiej, czy przejdzie na lwowską. Już donoszono, że go p. Pawlikowski zaangażował, to znowu, że układy zostały zerwane i p. Kamiński zawarł kontrakt z p. Kotarbińskim; już nawet w jesieni miał w Krakowie objąć pospołu z p. Walewskim reżyseryę; a dziś znowu pewnie ten telegramy krążą, że p. Pawlikowski przecież zaangażował p. Kamińskiego dla Lwowa, ale że artysta ten prawdopodobnie dopiero w ciągu sezonu wstąpi do personalu teatru lwowskiego. Rejestrujemy ten bieg wersyi — nie biorąc odpowiedzialności za ich prawdziwość, zwłaszcza, że p. Kamiński wyjechał do Copot nad Bałtyk, a p. Pawlikowski do Warszawy, trudno więc na razie prawdy dociec u źródła.

Komunikacya kolejowa. Wczoraj wstrzymano ogólny ruch kolejowy między Stanisławowem a Bołechowem z powodu podmycia mostu nad Witwiczanką. — Natomiast wznowiono wczoraj ruch pociągów na linii Dolina—Wygoda, dzisiaj na kolei Wama—Ruska Mołdawica, a w najbliższy piątek, 20 b. m., wznowiony będzie ruch kolejowy z Chodorowa przez Hnizdyczów do Kochawiny.

Konkursa rozpisują: Rada szkolna krajowa na posadę nauczyciela języka niemieckiego jako przedmiotu głównego w szkole realnej w Stanisławowie z terminem do 31 bm., na posadę gr. kat. katechety dla gimnazyum w Złoczowie z terminem do 10 sierpnia. — Dyrekcya państwowej Szkoły handlowej we Lwowie na posadę stałego sługi szkolnego z terminem do 12 sierpnia.

Kradzież w powodzi. Dla złodzieja każda chwila jest dobrą do jego rzemiosła; nie baczy on bowiem na to, czy dokoła szerzy się zniszczenie, byle on z każdej okazyi miał korzyść dla siebie. Oto wymowny przykład. W Hlince [illegible] woda porwała jakąś komórkę z gęsiami. Przerażone ptactwo wywaliło drzwiczki i poczęło pływać. Zoczył to pewien nałogowy złodziej [illegible] i puścił się na wodę za gęsiami, by kilka ukraść. Atoli wnet stracił równowagę i utonął.

Dla powodzian ofiarowała rz. kat. kapituła katedralna we Lwowie 200 K.

Z Kałuskiego nam piszą: Dnia 11 b. m. wskutek ulewy rzeczka Łukwa, która płynie przez Grabówkę, Zawój, Jaworówkę, Rypiankę i Mysłów, zasilona wodami z gór, wystąpiła na 4 metry. Szczęście, że to stało się przed południem, a nie w nocy, bo wówczas trudno byłoby o ratunek nawet dla ludzi. Mimo to jednak [illegible] jeden włościanin, zaś w Rypiance byłaby padła ofiarą powodzi cała rodzina mielnika, gdyż woda w izbie piętrzyła się już na metr,—gdyby nie doraźny ratunek kilku ludzi dobrej woli, którzy z narażeniem życia uratowali mielnika. W Zawoi woda zabrała [illegible] sprzętami; utonęło też kilka sztuk bydła. Oprócz tego porwała woda wszystkie mosty, a [illegible] ogrody [illegible]. Nawet i sadownia wskutek mrozów wiosennych chybiła, a zwykle przyczynia się ona wiele do polepszenia bytu tutejszych włościan. Tak więc lud tutejszy jest zupełnie pozbawiony możności wyżywienia [illegible].

Katastrofa pod Warszawą. Znany powieściopisarz Władysław Reymont, który zrazu był [illegible], że rychło wróci do zdrowia, [illegible] zupełnie niepomyślnie. [illegible] na zgniecioną klatkę piersiową i sztuczny [illegible], co może bardzo niekorzystnie oddziaływać na jego zdrowie, zwłaszcza na system nerwowy. Swoją drogą organizm p. Reymonta jest silny i być może, że to właśnie uchroni sympatycznego pisarza od groźniejszych następstw tej katastrofy kolejowej.

Ślad wyprawy Andrée'go. W pobliżu Holandyi koło Lopezsundu na morzu pod 63°42' północnej szerokości i 20°43' zachodniej długości znaleziono 7 bm. nieuszkodzoną butlę z kartką, która głosi: „Andrée, ekspedycya polarna 1896. III“. [illegible] ta została na okręcie „Botnia“ do instytutu meteorologicznego w Kopenhadze, który ją zamierza wręczyć bezzwłocznie rządowi szwedzko-norweskiemu. Zanotować warto przy tej sposobności, że jeden z dzienników fińskich [illegible] śladów wyprawy Andrée'go proponuje wysłać osobną wielką ekspedycyę [illegible] celem definitywnego zbadania, co się stało z Andréem. Koszta tej wyprawy mogłaby pokryć składka międzynarodowa, którąby należało urządzić na [illegible] wystawie w Paryżu.

Rosyanin o Rosyanach. Feljetonista *Nowego Wremienia* p. [illegible] pisze o stosunkach narodowościowych w Rosyi, wypowiada takie zdania: „[illegible] Niemca, inaczej Tatara, inaczej Polaka, inaczej Fina, Ormianina, Serba... [illegible] ziemi rosyjskiej tkwi on ustawicznie obok nas. Zlać się z nim [illegible] w żaden sposób nie możemy,— bo jesteśmy z ciasta zbyt różnego. Zupełnie tak samo, jak żółtko i białko, zawarte w jednej skorupie: zawsze razem, a jednak zawsze rozdzielone. Z drugiej strony, tyle od Niemca przyjęliśmy, tak długo mieszkaliśmy wspólnie, że między nami wytworzył się pewien *modus vivendi.* Niemiec nie zawadza Rosyaninowi — więc Bóg z nim. Być może, iż jeden drugiego nie połkniemy... Z Tatarem porozumieć się jeszcze łatwiej: połowa jego krwi — nasza własna. Sądzę, że my, Rosyanie, bez względu na różnicę wiary, bliżej jesteśmy spowinowaceni z Tatarami, Czuchońcami, Baszkirami i innymi obcoplemieńcami mongolskiego, a nawet wschodnio-kaukazkiego typu, aniżeli z Serbami, Bułgarami i Polakami. Mówią, że pochodzimy ze wspólnego korzenia. Korzeń ten istotnie był, ale czyż nie odpadł już? Czyż nie zgnił już od dawna? Za daleko odeszliśmy od siebie...“

A jeśli tak, to na czemże się opiera panslawizm?

Zmarli. W Postułówce koło Husiatyna ks. Jan Barwiński, gr. kat. proboszcz, lat 67 wieku, a 42 kapłaństwa. — We Lwowie Władysław Gwiazdomorski, c. k. profesor pedagogii w Czerniowcach, lat 45. — W Witkowcach pod Krakowem Bolesław Korwin Zychowicz, od lat 20 dzierżawca Witkowic kapitulnych.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +18, w poł. +20 R. Bar. 766. Spada. Pogoda. Wiatr.

Określenie miłości. Młodzian, pełen złudzeń i panna, odarta ze złudzeń. Kombinacya, jak w dzisiejszych czasach, bardzo prawdopodobna.

— Miłość? Co to jest miłość? — zapytuje młodzian.

I słyszy odpowiedź:

— Miłość? To znakomitość przereklamowana! Bezwątpienia ma ona jakie takie zasługi, ale wydmuchana jej opinia jest daleko większa od niej samej...

Myśli.

Szczęśliwy, kto może powiedzieć o sobie, że znalazł przyjaciela; idzie tylko o to, aby i nowy przyjaciel mógł to samo o sobie powiedzieć.

Są ludzie, którzy uważają się za lekceważonych, ilekroć nie są wyróżniani.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś we środę „Opowieści Hoffmana“, opera fantastyczna w 4 aktach Offenbacha. We czwartek „Cavaleria rusticana“, opera w akcie Piotra Mascagni'ego, występ Władysława Florjańskiego w partyi Turrida i Szymańskiego (Alfio); nastąpi „Pajace“, opera w 2 aktach Leoncavalla; występ Władysława Florjańskiego w partyi Cania i Józefa Szymańskiego w partyi Tonia. W piątek nie będzie przedstawienia.

Literatura i sztuka.

* **Opera.** Władysław Florjański wystąpił wczoraj na scenie skarbkowskiej w „Daliborze“, operze Smetany. Znakomity śpiewak był wybornie usposobiony i wydobywał z piersi swych tony czarowne, co w połączeniu z doskonałą grą dramatyczną czyniło postać Dalibora zupełnie wyrazistą i pełną wdzięku, jakkolwiek „Dalibor“ nie jest arcydziełem kompozytorskiem, a nawet u samego Smetany należy do mniej szczęśliwych. Ale Florjański postać bohatera tego, mściciela i kochanka, gra z przejęciem się ogromnem, prawdopodobnie dlatego też sztuka ta ma u Czechów nieustanne powodzenie i nasz artysta zbierał za nią w Pradze liczne laury. Miladę, wdowę po burgrabi, śpiewała pani Kasprowiczowa i zdobyła sobie — jak zawsze — gorące uznanie. Króla śpiewał p. Szymański, stróża więziennego p. Bogucki—obaj ze zwykłem powodzeniem. Na podniesienie zasługuje panna Sauerówna, która odśpiewała rolę sieroty Jutty i ogólnie podobała się dzięki swemu miłemu, silnemu i dobrze kierowanemu głosowi; dowiodła wczoraj, że — chociaż stale od lat wielu pracuje w chórze — potrafi także partye solowe wykonać bez zarzutu, a inteligentnie i z wdziękiem.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 16 lipca.

(Z.). Już trzy razy pisały dzienniki całego świata nekrologi Europejczykom, wymordowanym w Pekinie i zawsze pojawiła się jakaś nowa depesza, podająca w wątpliwość ową rzeź pekińską i zostawiająca pole nadziei, że może przecież członkowie kolonii europejskiej w stolicy Chin żyją jeszcze. Dziś niestety ogłoszono oficyalną depeszę, niweczącą wszelkie nadzieje i potwierdzającą fakt wymordowania wszystkich posłów i wszystkich wogóle cudzoziemców zamkniętych w Pekinie. Mimo urzędowego charakteru odnośnej depeszy, giełdy jakoś niedowierzały jej i zdawały się nie zwracać na nią uwagi. Nierównie więcej zajmowano się ponownem pogorszeniem się stosunków procentowych. Dopiero przed kilku dniami zdecydował się bank niemiecki po tylomiesięcznem wahaniu obniżyć stopę procentową o 1/2%, z 5 1/2 na 5%, a dziś żałuje już tego kroku, bo eskont prywatny na otwartym targu znów drożeje. To samo spostrzedz się daje i w Londynie, gdzie eskont prywatny zrównał się już całkiem z bankowym i z tego powodu obawiają się, że bank angielski jeszcze w tym tygodniu podwyższy stopę procentową z 3 na 3 1/2%. Niemieckie walory żelazne uległy dziś na giełdzie berlińskiej ponownemu spadkowi. Pomimo bowiem wszelkich zaprzeczeń pokazuje się, że rozkwit niemieckiego przemysłu żelaznego przecież był sztucznie wyhodowany. Oto obiegają wieści, że kilka hut w Westfalii całkiem zawiesi ruch i rozpuści robotników. Całą bowiem podstawę ich egzystencyi stanowiły obstalunki dla niemieckich przedsiębiorstw kolejowych w Chinach, a ponieważ te obstalunki skutkiem obecnej wojny ustały, przeto i fabryki westfalskie nie mają nic do roboty, a wykończonych już robót dla Chin wyekspedyować nie mogą. W podobnem położeniu jest zapewne więcej fabryk niemieckich, to też całą ich nadzieją jest obecnie, aby jak najrychlej rozpoczęły się roboty dla powiększenia floty niemieckiej. Na naszym targu był dziś prawdziwie kanikularny dzień. Frekwencya na giełdzie była nadzwyczaj mała, obrotów prawie żadnych, a notowania są przeważnie nominalne. Tylko niektóre walory kolejowe wybiły się na pierwszy plan dzięki wspaniałej pogodzie, sprzyjającej żniwom. — Z bilansu węgierskich kolei państwowych okazuje się, jak doniosłe skutki wywołał ostatni wielki strejk węglarzy w Austryi. Oto w ciągu pierwszych pięciu miesięcy bieżącego roku wywiozły koleje węgierskie do Austryi ni mniej ni więcej tylko 23.632 wagonów węgierskiego węgla.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 671·00, węgierskie 691·00, Anglobanki 278·00, Uniony 557·50, Bankvereiny 494·00, Länderbanki 417·00, Ludwiki 422·00, Czerniowieckie 532·00, Elbethale 465·00, Renta papierowa 97·80, srebrna 97·45, austryacka złota 115·55, austr. renta wal. kor. 97·40, węgierska złota 115·40, węgierska renta wal. kor. 91·05, dukat 11·34, frankówka 19·32, marki 23·69, ruble 2·55 1/4.

Bank rolniczy we Lwowie. Lwów, dnia 18 lipca 1900.

Usposobienie niezmienne.

Dziś notujemy za 50 klgr. loco Lwów: (Waluta koronowa). Pszenica gotowa 7·40 do 7·60, pszenica na termina 0·— do 0·—, żyto gotowe 5·60 do 5·80, żyto na termina 0·— do 0·—, owies obroczny gotowy 6·25 do 6·50, owies obroczny na termina 0·— do 0·—, jęczmień pastewny 5·75 do 6·—, jęczmień browarniany 6·— do 6·50, rzepak 11·25 do 11·50, lnianka 0·— do 0·—, groch pastewny 6·50 do 7·50, groch do gotowania 8·25 do 12·—, wyka 0·— do 0·—, bobik 5·90 do 6·25, hreczka 8·— do 8·50, kukurudza nowa 0·— do 0·—, kukurudza stara 6·50 do 6·75, chmiel za 56 kilo —·— do —·—, koniczyna czerwona 0·— do 0·—, koniczyna biała 0·— do 0·—, tymotka 0·— do 0·—, spirytus paritas Tarnopol gotowy za 50 litr 18·75 do 19·50, spirytus paritas Tarnopol na termina 16·75 do 17·50.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 17 lipca.

Słabsze notowania na rynkach zagranicznych, jak również obfitsze zaofiarowanie, wobec trudnego zbytu — wpłynęły ujemnie na targ dzisiejszy i wywołały zniżkę cen. Pszenica i żyto obniżyły się o 10 do 20 halerzy na 50 klg.

Płacono: pszenicę białą od 7·30 do 8·25 K., czerwoną 7·30 do 8·30 K., żółtą 7·30 do 8.30 K., żyto 6·30 do 6·80 K.; jęczmień browarny 6·25 do 6·75 koron; na krupy 5·75 do 6·— K.; owies 6·20 do 6·75 K., rzepak —·— do —·— K., konicz czerwony —·— do K., biały —·— do —·— K., kukurydza —·— K., — wszystko za 50 kilogramów.

Bank gal. dla handlu i przemysłu.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

Stanisławów 18 lipca (pryw.) Kursują już pociągi między Chodorowem a Bursztynem, oraz z Kołomyi do Stefanówki.

Nowy Sącz 18 lipca. (Pryw.) W niedzielę utonął w Popradzie teolog Albek; ciało wydobyto z wody wczoraj.

Wiedeń 18 lipca. *Wiener Ztg.* ogłasza patent cesarski z dnia 16 b. m. zwołujący sejm istryjski na 27 lipca.

Prezes gabinetu dr. Koerber powrócił tu wczoraj wieczorem z Ischlu.

Petersburg 18 lipca. Szach perski przybył tu wczoraj po południu. Na dworcu kolejowym powitał go car i członkowie domu carskiego.

Bukareszt 18 lipca. Gabinet Kantakuzena podał się do dymisyi i zaproponował królowi jako przyszłego prezydenta ministrów Corpa. Król dymisyę przyjął.

Berlin 18 lipca. Prezydent parlamentu niemieckiego Ballestrem otrzymał godność tajnego radzcy.

Wypadki w Chinach.

(Telegramy „Przeglądu“).

Wiedeń 18 lipca. *Wiener Abendpost* donosi, że przydzielony do poselstwa austro-węgierskiego w Pekinie wicekonsul Notieste, znajduje się w zupełnem bezpieczeństwie, albowiem w chwili nastania sytuacyi krytycznej w Pekinie był już na urlopie. Oficyał jeneralnego konsulatu austryackiego w Szangaju Gottwald, znajduje się na pokładzie okrętu „Zenta“ również zupełnie bezpieczny. W oddziale marynarki wysłanym z okrętu „Zenta“ do Pekinu, znajdują się: porucznik Józef Kollarz, kadeci Burgstaller i Wojneburg-Lengsfeld, tudzież komendant okrętu kapitan Thoman. Bliższych wiadomości o losie tych oficerów i całego oddziału wysłanego przez „Zentę“ dotychczas nie ma.

Wiener Abendpost zaprzecza doniesieniu dzienników, jakoby zamierzano wysłać do Chin krążownik „Karol VI“.

Paryż 18 lipca. Konsul francuski w Szangaju telegrafuje pod datą 16 bm., iż tamtejszy wicekról zaprzecza wieści o wymordowaniu cudzoziemców w Pekinie.

Tokio 18 lipca. Japońskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża wysłało do Nagasaki dozorczynie dla pielęgnowania chorych i rannych.

Londyn 18 lipca. Do „Biura Reutera“ donoszą z Hongkong: Wicekról Li-hung-czang ma tu dziś przybyć. Starania konsulów zagranicznych, aby powstrzymać go od wyjazdu na północ nie odniosły pożądanego skutku. Słychać, że Li-hung-czang zabrał ze sobą pieczęć wicekrólewską, a to w tym celu, aby nie można było w jego nieobecności ogłosić jakiejkolwiek proklamacyi.

Parowcem z Kantonu nadeszła wiadomość, że Chińczycy założyli tam wielki obóz wojenny. Dowódzca „czarnych flag“ Lin-lee otrzymał rozkaz udać się drogą lądową w pochód do Pekinu.

Londyn 18 lipca. Do „Biura Reutera“ donoszą z Tientsinu pod datą 13 b. m.: Wojska europejskie przedsięwzięły dziś skombinowany atak na dzielnicę chińską. Stanowiska Chińczyków były ostrzeliwane z przeszło 400 dział. Straty wojsk europejskich są bardzo ciężkie. Zabrano 8 dział chińskich i wypędzono nieprzyjaciela po gwałtownym ogniu działowym z arsenału zachodniego, niepodobna jednak było zająć miasta. Silny oddział wojsk sprzymierzonych jest jeszcze pod murami dzielnicy chińskiej. Jutro prawdopodobnie będzie atak ponowiony.

Berlin 18 lipca. Szef eskadry krążowników telegrafuje z Taku 14 b. m.: Wojska europejskie zajęły wczoraj wszystkie forty Tientsinu z wyjątkiem jednego, którego zdobycie będzie możliwe dopiero po nadejściu kilku dział rosyjskich, które już są w drodze.

Londyn 18 lipca. Do *Daily Mail* donoszą z Szangaju pod datą 17 b. m.: Wojska europejskie 14 b. m. nad ranem ponowiły atak na Tientsin, udało im się zniszczyć część murów, poczem zajęły wszystkie forty. Chińczycy zostali zupełnie pobici. Wojska zajęły dzielnicę chińską z wszystkiemi fortecami. Ogólne straty wojsk europejskich podczas walk, stoczonych we czwartek, piątek i sobotę, wynoszą około 800 ludzi zabitych i rannych. Najcięższe straty ponieśli Rosyanie i Japończycy.

Petersburg 18 lipca. Do *Nowego Wremia* donoszą z Kijowa w dniach 14, 15 i 16 b. m.: Wyruszyły stąd pociągi kolei żelaznej z wojskiem, które przez Syberyę będzie przetransportowane do Władywostoka. Są to: 7 batalionów saperów, kompania pułku telegraficznego i 1 kompania pionierów. Do tegoż pisma donoszą z Władywostoku, że część wojsk, przeznaczonych do Chin, udała się już stamtąd na 2 okrętach floty ochotniczej. Dalsze ekspedycye odbędą się na 2 japońskich, 7 rosyjskich i 3 niemieckich okrętach transportowych.

Paryż 18 lipca. Telegram konsula francuskiego w Han-kou pod datą 11 bm. donosi, że w tym dniu panował tam spokój. Linia kolejowa Han-kou— Pekin była strzeżona przez europejski personal kolejowy; żony i dzieci urzędników tych przewieziono do Han-kou. Wikaryusza apostolskiego prowincyi Honan, zamieszkałego w Nanyangfu, zaatakował motłoch chiński Nanyangfu. Wikaryusz apostolski prowincyi Hupei donosi o zburzeniu budynków misyi w Siang-yang. Zdaje się ze wszystkiego, że ruch bokserski rozszerza się z Pekinu w kierunku południowym.

Waszyngton 18 lipca. Konsul amerykański w Szantung telegrafuje, że wicekról Li-hung-czang wyjechał wczoraj, otrzymawszy w nocy z 15 na 16-go edykt cesarski, mianujący go wicekrólem prowincyi Peczili i polecający mu, aby natychmiast udał się do Peczili. W Kantonie obawiają się, iż pod nieobecność Li-hung-czanga wybuchną zaburzenia. Do Kantonu przybyły francuskie kanonierki.

Londyn 18 lipca. Tutejszy poseł chiński otrzymał od dwóch wicekrólów wiarygodne rzekomo depesze z zapewnieniami, iż posłowie i cudzoziemcy w Pekinie dnia 9 bm. jeszcze żyli i doznawali opieki rządu.

Suez 18 lipca. Okręty „Bismark“ i „Frankfurt“, wiozące wojsko niemieckie do Chin, przepłynęły już kanał Suezki. Płyną one z jak największym pośpiechem, nie zatrzymując się wcale po drodze. W Port Saidzie zatrzymały się tylko kilka godzin, by uzupełnić zapasy węgla.

Londyn 18 lipca. W izbie gmin oświadczył Brodrick, że w dniach ostatnich nie nadeszła żadna wiadomość, ani od konsula angielskiego w Tientsinie ani od komendanta oddziału angielskiego. Rząd nie otrzymał również potwierdzenia wiadomości o zaczepnem działaniu wojsk sprzymierzonych w Tientsinie.

Petersburg 18 lipca. Chiński poseł oświadczył rządowi rosyjskiemu, że zajścia w Mandżuryi nie nastąpiły ani w porozumieniu, ani z inicyatywy rządu chińskiego w Pekinie. Zarazem przyrzekł ten poseł, że rządowi swemu zrobi energiczne przedstawienia co do poważnych skutków, jakie mogą dlań wyniknąć z postępowania Mandżurów.

Londyn 18 lipca. Depesza z Szangaju z dnia 10 lipca donosi, że w miejscowości Taywan zostało 40 cudzoziemców i 100 Chińczyków chrześcijan wymordowanych. Uzbrojeni bokserowie w liczbie około tysiąca krążą około Taywanu. Ruch powstańców wzmaga się.

Waszyngton 18 lipca. Doniesienie, jakie tutejsze poselstwo chińskie otrzymało od posła chińskiego w Londynie, że posłowie europejscy w Pekinie są przy życiu, ma datę 13 lipca podług rachuby chińskiej, czyli podług naszej rachuby 9 lipca. Władze chińskie prowincyonalne zwróciły się w tem doniesieniu do mocarstw z prośbą, aby nie zniszczyły Tientsinu, bo toby się równało zniszczeniu handlu europejsko-chińskiego.

Bruksela 18 lipca. Ministerstwo spraw zagranicznych otrzymało od pierwszego sekretarza legacyjnego przy poselstwie w Pekinie następującą depeszę datowaną z Szangaju 17 lipca: Taotai Sheng otrzymał od gubernatora Szantungu depeszę następującej treści: „Kuryer który 9 lipca opuścił Pekin donosi, że w tym dniu poselstwa jeszcze dobrze się trzymały“.

Wojna w Afryce.

Londyn 18 lipca. Do Biura Reutera donoszą z Pretoryi: Władze tutejsze stwierdziły, że przybyła tu podczas wojny znaczna liczba włóczęgów z Johannesburga i szerzy niepokój, łącząc się z wojskami Boerów. Około 580 tego rodzaju indywiduów już aresztowano i dotyczących konsulów o tem zawiadomiono z tem, że wypuszczeni będą na wolność, jeżeli konsulowie poręczą ich spokojne zachowanie się. — Roberts telegrafuje dalej, że stwierdzono, iż Boerzy wzmocnili swe stanowiska na północ od Pretoryi.

HOTEL IMPERIAL

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia

Lwów — ul. Trzeciego maja.

Przyjechali dnia 18 lipca. Hr. A. Szeptycki z Królestwa. Hr. S. Plater z Moszkowa. Hr. Stadnicki z Wielkiej wsi. S. Grünfeld z Bytomia. Z. Szaszkiewicz z Uherzec. S. Skrzyszowski z Chartanowic. A. Sebalk z Sołotwiny. S. Glaubak z Londynu. Z. Dubski z Wiednia. A. Dufek z Bogumina. K. Szromsky z Pragi. W. Rostheim i Demanowsky z Budapesztu. S. Gustyński z Krzemieńca. K. Miziumski z Podola ros. W. Kwiczyński z Manheim. Dr. J. Galant z Zagórza. Z. Miłaszewski z Prus.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 18 lipca. Hr. A. Piniński Suszczyna. Hr. A. Starzyński z Dąbrówki. Hr. M. Tyszkiewicz z Nowosielicy. M. O. Dembicki z Krakowa. M. Skibniewski z Podola ros. Z. Łokociewska z Kijowa. A. Cop z Wiednia. M. Winnicka z Turad. W. Fedorowicz z Okna. M. Krahl z Czerniowiec. Z. Tomaszewska i S. Udrycka z Stanisłówki. Dr. Z. Majeranowicz z Wilna. J. Eberhardt z Wrocławia. Z. Wolfarth z Kurzan. O. Nowicki z Firlejówki. K. Gotlieb z Podkamienia. A. Fleischmann z Stanisławowa. M. Sosnowski z Kołomyi. W. Tomaszewski z Przemyśla. K. Wyleżyński z Jarosławia. W. Szymberski z Rosyi.

HOTEL FRANCUSKI

plac Maryacki — Lwów.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia i fryzyer w miejscu.

Przyjechali dnia 17 lipca. E. Fullner z Warmbrunu. J. Znamirowski z Krynicy. J. Reytarowski z Koszlak. H. Mandl z Wiednia. D. Lechowski z Drohobycza. T. Grodzicki z Królestwa. C. Domani z Krakowa. B. Górski z Sądowej Wiszni. M. Goldberg z Grzymałowa. Z. Gronziewicz z Czortkowa. D. B. Lewicki z Bryniec. K. Kędzierski ze Swaryczowa. A. Schmidt ze Skolego. M. Didolie z Dalmacyi. H. Ludwigo z Berlina. K. Dmytrow z Tarnopola. Z. Klein z Budapesztu. Ks. Kocosz z Lisowic. Z. Woyberg z Warszawy. S. Stawiński z Biszkowic. K. Kropaczek z Rzeszowa. J. Gawroński z Borysławia.

HOTEL „VICTORIA“

Lwów — ul. Hetmańska 8.

Pierwszorzędny hotel, zupełnie odnowiony, z komfortem urządzony.

Przyjechali dnia 18 lipca. Z. Gnatowski z Ukrainy. P. Friedburg z Korszyłówki. H. Karszniewicz z Kołomyi. Ks. A. Gryczyński z Krasnobrodu. Neuman Barber z Suczawy. A. Czyżewski z Potoka złotego. Ks. J. Pechowicz z Waniowa. K. Łucka z Drohobycza. Ks. Boberski z Suchodołu. L. Radzikowski z Kołomyi. L. Thaler z Wiednia. T. Rozborski z Limanowy. R. Benko z Budapesztu. M. Rosenfeld z Hamburga.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Jako sądownie ustanowiony opiekun małoletniego Jana Horodyskiego z Krogulca, podaję niniejszem do publicznej wiadomości, że żadnych i pod jakimbądź pozorem zaciągniętych zobowiązań tego małoletniego płacić nie będę. Uherce Niezabitowskie w lipcu 1900.

Stanisław Niezabitowski.

Ruch wkładek w gal. Kasie oszczędności

we Lwowie

w I półroczu 1900.

kapitał wkładkowy z 1/I 1900 . . .	K. 62,892.677·68
przyrost w I półroczu b. r.	„ 3,224.182·—
Stan kapitału wkładkowego z 30/6 1900	K. 66,116.859·68

Lwów 18 lipca. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 koron 421·00 do 425·00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 400 kor. 531.00 do 539.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 640.00 do 650.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 150·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400·— do 420.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 360.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·30 do 110·00. 4 i pół proc. los. w 50 lat 98·30 do 99·00, 4 proc. los w 60 lat 91·30 do 92·00. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.— do 99.70. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 93·— do 93·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 91·50 do 92·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 91.50 do 92·20, 4 proc. los w 56 lat 90·30 do 91.00.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 96·00 do 96·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·00 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·00 do 100·70. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 93·30 do 94·00. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. 102·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 92.00 do 92·70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 88·50 do 00·00.

Monety. Dukat cesarski 11·30 do 11·45. Napoleondor 19·20 do 19·40. Rubel rosyjski papierowy 255·— do 257.—. 100 marek niemieckich 118·20 do 118·80.

Wiedeń 18 lipca. (Giełda towarowa). Cukier (stale) 30·35. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (silnie) 44·40.

Berlin 18 lipca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 84·30. Spirytus 50·40.

Paryż 18 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 99·95. Mąka („Fleur de Paris) 26·60.

Frankfurt 18 lipca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 207·90. Koleje państwowe 000·00. Alpiny 000·00. Disconto 175·50. Laura 211·50.

Wiedeń 18 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na na jesień 7·74—7·76, na wiosnę 0·00—0·00; żyto na jesień 7·04—7·06, na wiosnę 0·00—0·00; kukurudza na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 6·02—6·03, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 6·08—6·09, na maj 1901 r. 5·04—5·07; owies na jesień 5·49—5·51, na wiosnę 0·00—0·00, rzepak na sierpień-wrzesień 13·70—13·80, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 1901 r. 0·00—0·00; olej rzepakowy na wrzesień-grudzień. Tendencya: pewna. Pogoda: gorąco.

Budapeszt 18 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na na październik 7·49—7·50; żyto na październik 6·63—6·66; owies na październik 5·16—5·18; kukurudza na lipiec 5·80—5·81, na sierpień 5·82—5·83, na maj 1901 r. 4·69—4·72; rzepak na sierpień 13·35—13·40. — Oferty na pszenicę słabe. Chęć kupna mała. Tendencya słaba. Pogoda: piękna.

77)

CORLEONE

POWIEŚĆ

Maryona Crawford.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Tak, najlepiej będzie, gdy was sam zaprowadzę na dziedziniec — przerwał Pagliuca. — Wskażę wam pokój, w którym prawdopodobnie karabinierzy sypiają. Są tam wązkie okienka, które pewnie zostawiają otwarte na noc wskutek gorąca.

Noc była jasna, choć bezksiężycowa. Pod drzewami było ciemno, tylko światło gwiazd, padające przez liście, rozjaśniało cokolwiek wijącą się ku dołowi ścieżkę, przez którą Teobald prowadził swoich towarzyszy. Szedł przodem szybko i z całą pewnością siebie, ostrzegając ich monotonnym głosem o drobnych przeszkodach na drodze. Prócz jego konia, bandyci prowadzili jeszcze pięć innych, z których jeden przeznaczony był dla San Giacinta, a reszta dla herszów. Cała gromadka snuła się cicho o ile możności pod pokrywą rozłożystych drzew i głębi parowów, to znów pełzała wśród krzaków, przebywając w bród górskie potoki.

Nakoniec Teobald przystanął i spojrzał na zegarek.

— Jesteśmy już blisko — rzekł do Maura — a jeszcze trochę zawcześnie. Słyszę już szum strumienia i za jaki kwadrans będziemy już pod wałem, a jeszcze nie wybiła północ. Możebyś pan kogo zostawił przy koniach? Tu byłoby im bezpieczniej pod drzewami.

Czuł dotkliwe zimno, przenikające mu kości. Nogi miał mokre, a wiatr nocny dął od strony doliny. Podniósł kołnierz surduta, a Mauro widząc, że nim wstrząsa dreszcz, podał mu srebrną manierkę, z której on wychylił chciwie haust wódki.

— Posłuchamy pańskiej rady — rzekł — a koniom, dla bezpieczeństwa, założymy worki na nosy.

W mgnieniu oka konie zostały przywiązane do drzewa.

— A teraz w drogę! — rozkazał wódz.

Serce Teobalda uderzało jak młotem, gdy stanął znowu na czele pochodu. Czuł się chorym i łamało go w kościach, ale stąpał pewnym krokiem, tylko silny dreszcz wstrząsał nim znowu, gdy spojrzał na rwący potok, którego wody srebrzyły się gdzieniegdzie w świetle gwiazd.

Mauro ściągnął z nóg buty i wszyscy w milczeniu poszli za jego przykładem. Po drugiej stronie potoku krzaki zarastały nizko grunt, a eukaliptusy cień czarny rzucały dokoła. Powyżej oliwne i figowe, dziko rosnące drzewa, wystawały wysoko po nad splątanym gąszczem zieloności, pokrywającej stromą ścianę wzgórza, na szczycie którego wznosiła się posępna dyabelska wieża, której mgliste, szare zarysy, znaczyły się na niebie. Czarna linia wysoko wzniesionego muru widniała jak wstęga, rozwieszona po nad majaczącemi w dole mglistemi cieniami.

Teobald cicho szepnął Maurowi, aby szedł w ślad za nim przez potok, a słowo komendy szeptem przeleciało przez cały szereg, aż doleciało do Moscia, który zamykał pochód. Stąpając bardzo ostrożnie z kamienia na kamień, zanurzony po kolana w zimnej, rwącej wodzie, Teobald dotarł do drugiego brzegu, potem dotknął z lekka idącego za nim Maura, aby go ostrzedz, że teraz zaczyna się mozolne wspinanie się pod górę i każdy w tenże sam sposób ostrzegł postępującego za sobą towarzysza. Ze strzelbami przerzuconemi przez plecy, z rewolwerami zawieszonemi na piersiach, piętnastu bandytów, w głębokiem milczeniu, posuwało się naprzód pod górę za przewodnikiem, stąpając obnażonemi stopami po ostrych kamieniach, przedzierając się przez splątane korzenie drzew, a nie przystając ani na chwilę dla nabrania oddechu. Teobald spostrzegł pierwszy przypartą do muru drabinę. Zatrzymał się i wytężył słuch, ale nie usłyszał nic, prócz bicia własnego serca, które, jak młotem, rozsadzało mu piersi. Mauro dotknął jego ramienia i ręką wskazał ku górze, nagląc do pośpiechu, ale on czuł się obezwładnionym, jakby go nagle tknął paraliż.

Mauro zniecierpliwiony, odsunął go na bok i pierwszy wstąpił na drabinę, a za nim powszyscy inni, nie spostrzegłszy wśród ogarniających ich zewsząd ciemności, że Teobald został w tyle, zasunięty w mroki, oszołomiony i trzęsący się cały od gwałtownego wzruszenia. Naraz zbudziło się w nim instynktowne poczucie własnego ratunku. Kiedy więc ujrzał ostatniego bandytę niknącego cicho na szczycie wału, pociągnął z całych sił ku sobie drabinę i rzucił ją w zarośle. Sam zaś poskoczył naprzód kilka kroków pod osłonę muru i wpadł między krzaki, przedzierając się przez nie z desperacką jakąś zaciętością.

Uchwyciwszy się wężowo skręconych korzeni grubego drzewa, spuszczał zwiesione w przestrzeń nogi na odłam skały, kiedy naraz nieludzki krzyk przeszył ciemności nocy, krzyk tak głośny i straszny, że aż go powtórzyły echa boru. Teobald upadł na ziemię z wysokości jakich dziesięciu stóp, a nim jeszcze dotarł do gruntu, został nawpół ogłuszony ostrym świstem kul, które gradem posypały się w powietrzu. Stoczył się na skałę, podźwignął szybko na nogi i schwyciwszy obcążce gałąź drzewa, spuścił się po niej aż ku rzece, podczas kiedy rotowy ogień nie ustawał ani na chwilę, głuszące szum potoku. Rzucił się wpław do wody, tracąc na razie równowagę, a odzyskawszy ją, z trudnością przebrnął przez porywający go prąd rzeki, wydostał się na drugi brzeg, i jak dziki zwierz, gnany przez sforę psów gończych, puścił się na oślep bosy, krwawiącemi stopami, przez ciernie i kamienie. Strzały nie ustawały jeszcze, kiedy już dopadł konia Maura i zawrotnym pędem galopował przez nierówną kotlinę ku gościńcowi, wiodącemu do Santa Vittoria. Stał niemal w strzemionach, chłoszcząc konia lejcami i serce rozsadzało mu tchórzliwe piersi, a w ślad za nim biegło przerażenie takie, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczał dotąd, gdyż nie był to tylko zwykły fizyczny strach przed śmiercią.

Uciekał, jak wicher, przed ogromem występu, jaki go nareszcie ogarnął na myśl o haniebnej zdradzie, jakiej dokonał, wydając swoich druhów na śmierć i zagładę pewną. Uciekał przed czynem własnym, ścigany furyami piekieł, a nie przed karą Judaszową, która w ślad za nim iść miała aż na Sąd Boży.

Walka była krótką i śmiertelną. Mauro, dotarłszy na szczyt drabiny, spuścił się cicho na drugą stronę wału. Dokoła pusto było i cicho. Policzył swoich ludzi, w miarę jak nadchodzili za nim, potem z nożem w prawem ręku, a z rewolwerem w lewem, podszedł cicho do furtki, prowadzącej w wewnątrz obejścia. Widno było w świetle gwiazd, w porównaniu do gęstych mroków, zalegających zarośla.

Naraz wysoki mężczyzna wysunął się z za węgła i stając naprzeciw niego, zapytał szeptem, biorąc go za Teobalda:

— Czy już nadeszli? Przechodź pan: a bę dziesz bezpiecznym.

Błyskawicznie rozjaśniło się w myśli herszta. Zrozumiał, jak rzeczy stoją, to też pchnął nożem w piersi karabiniera, który z cichym jękiem padł martwy na ziemię. W jednej chwili całe przejście napełniło się tłumem żołnierzy, którzy otoczyli go zewsząd zwartem kołem. Mauro nieludzkim niemal głosem ryknął na swoich ludzi, aby się ratowali ucieczką, i ten to krzyk właśnie doleciał do struchlałych uszu uciekającego zdrajcy. Jednocześnie wystrzelił.

Walczący rozpoznawali siebie w błysku strzałów, aż dopóki gęsty obłok dymu nie spowił ich razem, a wtedy zaczęła się straszna rzeź wśród ciemności. Bandyci drogo sprzedawali swoje życie, celując trafnie, wielekroć dopatrzeć mogli coś przed sobą, a gdy mroki zasłoniły im wszystko przed oczyma, wtedy lufami wincestrów szukali ciał i strzelali na chybił trafił, w żywych i zabitych, nawołując się, jak hasłem, imieniem wodza.

— Mauro! Mauro! — wołali, kłębiąc się, jak szatańska zgraja, wśród czarnego dymu.

Ale Mauro leżał już martwy na stronie, z piersią przeszytą dwunastoma strzałami, a choć pięciu zabitych żołnierzy legło dokoła i pod nim, złote monety, mające okupić przed sprawiedliwością Bożą ich morderstwo, nie miały już być nigdy doliczone do poprzednich.

Kilka strzałów jeszcze rozległo się gdzieniegdzie w powietrzu, bo niektórzy bandyci zdołali się schronić na dachach niskich zabudowań gospodarskich, pomiędzy wałem i stajniami, a zacięci żołnierze ścigali ich do końca. Kiedy wszystko już ucichło się, prócz dalekiego gwaru głosów, i tylko kiedy niekiedy głuchy jęk wydobywał się z kłębów pełzającego po ziemi gęstego dymu, z za węgła wysunął się człowiek zbryzgany krwią i opalony dymem, który odrzuciwszy precz od siebie wystrzelony karabin i rewolwer, z nożem tylko w ręku począł szukać wśród stosu trupów, czy nie pozostało wśród nich jakiegoś śladu życia. Ale wszystko było już martwe i ciche dokoła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.